

*Roman  
Brandstaetter*

**PROROK  
JONASZ**



INSTYTUT WYDAWNICZY PAX 1983

# 1

## KIM BYŁ JONASZ?

Jonasz był synem Amittaja, Amittaj synem Josefa, Josef synem Efraima, Efraim Beniamina, Benjamin Booza, Booz Eliezera, Eliezer Mardocheja, Mardochej Natanaela, a Natanael... Tu zaczyna się historia — była ona zarazem źródłem dumy jak i niepokoju Jonasza — tajemnicza jak wszystko, co się dzieje na obszarach sakralnego czasu szczelnie zasłoniętego i niedostępnego dla ludzkiego rozumu. Otóż stary, rodzinny midrasz, przechodzący w rodzie Jonasza od niepamiętnych wieków z ojca na syna, głosił, że Natanael był jednym z synów męża, którego prorok Ezechiel wskrzesił w Dolinie Kości. Wprawdzie w innym czasie żył prorok Ezechiel, a w innym Natanael, ale w tym wypadku nie czas człowieka był miarodajny, ale czas midraszu, w którym Pan zebrał, zawarł i zespolił w jedną całość wszystko, co lekkomyślny człowiek rozdrobnił na małe części zdarzeń i rozproszył bez składu i ładu na długiej przestrzeni dziejów. Zatem w praojcach Jonasza zawsze żywa była tradycja o pochodzeniu rodu od zmarłych-wstańca, a sam Jonasz tak był spoufalony z pojęciem

zmartwychwstania, że ilekroć o nim rozmyślał, zdawało mu się, iż jest ono wydarzeniem nie z odległych stuleci, ale z jego własnego życia. Gdyby go ktoś zagadnął, czy uważa zmartwychwstanie za cud, byłby tym pytaniem zaskoczony, gdyż wszystko, co czyni Wszechmocny, jest wydarzeniem tak prostym i zwyczajnym i samo przez się zrozumiałym, jak wszystkie zjawiska na niebie i ziemi, poręczające się nawzajem z woli Pana. Jonasz był zbyt trzeźwo i rozsądnie myślącym człowiekiem, by uważać cud dokonany przez Pana za zjawisko zdumiewające. Gdyby się zdumiał nad cudem Pańskim, uważałby na pewno takie uczucie za owoc karygodnej nieufności, zatem za grzech śmiertelny, popełniony przed obliczem Wiekuistego.

## 2

JONASZ SYN AMITTAJA pochodził z pokolenia Zebulon, z zamożnego rodu, osiadłego na wschód od Jeziora Kinereth, w Dolnej Galilei. Urodził się w Gat Hefer. Jego ojciec wkrótce po przyjściu na świat Jonasa przeniósł się z całą rodziną do małego miasteczka, położonego na zachodnim brzegu Jam Kinereth, gdzie wspólnie ze swoim bratem założył przedsiębiorstwo rybne. Jonasz po śmierci ojca, według błogosławionych

praw dziedziczenia, objął jego przedsiębiorstwo, rozbudował je i uczynił źródłem obfitych dochodów. Ożenił się, spłodził dzieci, pracował i modlił się, dziękując Bogu za to, co mu dał, i za to, czego mu nie odebrał.

A Pan, widząc to, kiwał z zadowoleniem głową, albowiem lubił ludzi przewidujących i ostrożnych.

### 3

JONASZ BYŁ CZŁOWIEKIEM szczęśliwym. Bardzo szczęśliwym. Zdrowie mu zawsze dopisywało. Jego ręce i nogi były krzepkie, jego niebieskie oczy były bystre i przenikliwe. Wysokiego wzrostu, urodziwy i barczysty, szedł zawsze lekkim, ale mocnym krokiem, wzbudzając powszechny podziw młodzieńczym wyglądem. Miał żonę — była kiedyś bardzo piękna — dwie córki, które dobrze wydał za mąż, i dwóch synów, których ożenił, czworo wnuków, pięć barek rybackich, suszarnię ryb, gaj oliwny, tłocznię oliwy i liczną służbę. Codziennie żarliwie dziękował Bogu, który obdarzył go rodziną, majątkiem, zdrowiem i powodzeniem, i niczego od niego nie żądał poza pobożnością, modlitwą i spełnianiem dobrych uczynków, a ponieważ Jonasz był pobożny, uczciwy, modlił się, nikogo nie skrzywdził i zawsze czynił dobrze, Pan coraz życzliwszym okiem patrzył

na swojego ulubieńca i nie szczędząc mu łask, obsypywał go coraz to nowymi dobrodziejstwami.

Jonasz był człowiekiem szczęśliwym, bardzo szczęśliwym...

## 4

JONASZ BYŁ W PEŁNI ŚWIADOM swojego szczęścia. Jest to szczególnie może drobny, ale ważny, albowiem niektórzy spośród ludzi szczęśliwych nie wiedzą, że są szczęśliwi, a chociaż Pan obdarza ich samymi łaskami, nie dostrzegają dobroci Bożych darów. Smutek i gorycz sami sobie zadają, niewiedzą swoją obrażając Pana. Jonasz jednak nigdy nie skalał swojego serca niewdzięcznością i wielokrotnie w modlitwach nader delikatnie przypominał o tym Panu, uważał bowiem, że o pewnych zarówno skromnych, jak i cennych cechach swojego charakteru powinien od czasu do czasu napomknąć Wiekuistemu, bo nigdy przewidzieć nie można, która cnota może na korzyść człowieka przeważać szale wagi w dniu Sądu Ostatecznego.

Pan, słuchając modlitewnych przypomnień Jonasza, dobrotliwie się uśmiechał, albowiem był przychylny ludziom dbającym o swój los pośmiertny.

# 5

MODLITWA BYŁA DOMEM, do którego Jonasz zawsze z radością wracał. Wyobrażał sobie, że gdyby nie mógł się modlić, byłby jak bezdomny włóczęga, bez dachu nad głową.

A jak się modlił?

Różnie. Posługiwał się w tym celu szeroką skalą środków. Jeżeli chodzi o ogólną właściwość jego sztuki modlenia się, miał, odziedziczony po ojcach, zwyczaj powtarzania w różnych wersjach tej samej prośby lub tego samego dziękczynienia, czynił to jednak nie tylko w tym celu, by jak oni powiększać skuteczność swoich błagań, ale dla niewinnego, osobistego upodobania, gdyż powtarzając wielokrotnie tę samą myśl w rozmaitych wariantach, przeżywał wzmożoną radość twórczą, za prawdę wzniosłe uczucie współdziałania z nadziemskimi chórami, co w ostatecznym rozrachunku było całkowicie zgodne z pobożnymi intencjami jego modlitw.

Niekiedy modlił się głośno, śpiewając. Niekiedy, gdy spowiadał się z najskrytszych swoich tajemnic, modlił się głosem wewnętrznym, milczącym, co nie znaczy, że głos jego tracił swoją śpiewność. Ten śpiew wewnętrzny był jeszcze śpiewniejszy i pełniejszy od głośnego, bo słowa, wyzwolone z artykulacji, fonetyki i dykcji, odzyskiwały swój właściwy, przyrodzony, nieskażony wymiar, idealnie zamykający w sobie modlitewną treść,

która wraz ze swoim prąkształtem stanowiła doskonałą i niepodzielną całość, jedność zaprawdę godną zazdrości.

Innym razem modlił się bez słów głośnych i bez słów milczących, tylko wewnętrznym zamyśleniem, żarliwym i czystym, wyrażającym się całkowitym oderwaniem od wszystkiego, co go otaczało, i w tym podniesieniu ducha przez drobny ułamek chwili dostępował łaski odcieleśnienia, które dawało mu przedsmak współudziału w życiu Boga.

Ale miał jeszcze jeden sposób modlenia się, który wynalazł wyłącznie na swój najbardziej osobisty użytek. Był to sposób prosty, tak prosty, że nieomal dziecinny w swojej nienaganej naiwności. Ale może najulubieńszy ze wszystkich sposobów. Stosował go w różnych porach dnia i nocy, przy różnych okazjach, podczas pracy i wypoczynku, przed snem, podczas spożywania darów Bożych i przechadzek nad jeziorem, podczas podróży na ośle i pielgrzymek do Jerozolimy. Cała modlitwa składała się z trzech słów, w które wkładał całą żarliwość serca i wszystkie najlepsze treści swojej duszy i całą miłość dla Pana: „Kocham Ciebie, Boże”. W tych trzech słowach wyrażał swoje najwznioślejsze uczucia, wszystkie pragnienia, dziękczynienia, prośby, błagania, zapewnienia, ślubowania, obietnice, całą swoją wdzięczność i całe oddanie. Powtarzał te trzy słowa tak długo, aż Bóg, pomniejszywszy się do ich rozmiarów, zezwalał mu łaskawie całego siebie posiąść. Było to złudzenie nader misterne, jedno z tych, którym Pan obdarzał swoich

ulubieńców, aby nie posiadając Go, posiadli, a głodni Jego Niewidzialności, oglądali Go. I Jonasz, w modlitewnym zapamiętaniu powtarzając te trzy słowa, oglądał Boga, nie widząc Go.

## 6

JONASZ, CHWAŁĄC SOBIE OPIEKĘ BOŻĄ, codziennie żarliwie dziękował Panu za otrzymane dary, a będąc człowiekiem mądrym i znającym z doświadczenia własnego i praojców obyczaje Wiekuistego, nie zapominał również dziękować Mu za to, czego od Niego nie otrzymał, a to dziękczynienie szczególnie miło brzmiało w uszach Boga, podwójnie miłującego tych, którzy okazywali Mu wdzięczność zarówno za wyświadczone im, jak i nie wyświadczone dobrodziejstwa. Nie docieczone są obyczaje Pana.

## 7

JONASZ MIAŁ PIĘKNY GŁOS, który był źródłem jego dumy. Ale tej dumy nie należy opacznie komentować, bo nie była to właściwa duma, ale szczególna wdzięczność,



jaką miał dla Pana, za dar głosu i słuchu, uczucie radości za wywyższenie doznane z łaski Pańskiej, a przede wszystkim świadomość, że on, Jonasz ben Amittaj, otrzymał owe dary po to, aby za ich pomocą uświęcać chwałę Jahwe Cebaoth o każdej porze dnia i nocy. Śmiało więc można zaryzykować twierdzenie, że Jonasz był dumny nie ze swojego głosu, ale ze swojego Boga, który dla własnej chwały obdarował pobożnego męża pięknie brzmiącym głosem.

A cóż to był za głos! Struny niebiańskie w gardle, miód na podniebieniu, a wino z winnic Engadi na wargach!

## 8

ZANIM PRZEJDZIEMY do właściwego opowiadania, musimy kilka słów opowiedzieć o pewnej ważnej sprawie, a mianowicie o snach Jonasza.

Sny Jonasza były zawsze spokojne i czyste. Jonasz we śnie, podobnie jak w życiu, nigdy z nikim nie walczył i nigdy na nikogo nie zamierzył się. Jonasz w snach swoich, podobnie jak w życiu, nigdy się nie wywyższał i nigdy nikogo nie krzywdził. Złe moce nie miały dostępu do jego snów. Nie trapiły go męczące zmyślenia. Sny Jonasza były łagodne i ciche. Tak jak jego życie.

Ale Jonasz wiedział, że są jeszcze inne sny. Znał je z Księgi Stworzenia, z Księgi Wyjścia i z Księgi Kapłańskiej, i z Księgi Prawa, i z Księgi Powtórnego Prawa znał te cudowne, a w cudowności swojej wstrząsające sny Abrahama, Jakuba, Józefa, Mojżesza, sny, w które wstępował Pan we własnej Osobie. Obecność Boża, nawiedzając w snach śpiącego, nakładała na jego barki trudne i ciężkie obowiązki, które wybrany dźwigał na jawie, uginając się pod ich brzemieniem. Jonasz z trwogą rozmyślał o takich snach i w szczerości ducha dziękował Panu, że nie uwił sobie gniazda w jego sennych marzeniach. Zresztą Jonasz był człowiekiem pokornym i wiedział, że jest niegodny Pańskich nawiedzeń.

## 9

I OTO JONASZ PO RAZ PIERWSZY w życiu przełakł się snu. Śnił sen, za którym kryło się coś, czego nie umiał sobie wyjaśnić. Spytał we wnętrzu swoim: „Co się kryje za tym snem?” Śnił mianowicie, że leży w upalne południe na trawie, nad jeziorem Kinereth, w cieniu terebintu, i medytuje nad mądrością Bożą: — Nieskończenie mądry jest Pan, albowiem stworzył potężne drzewo terebint, mocno zakorzenione w ziemi, niewzruszone i nieugięte. Jak dobrze, że stoi nieruchomo

w jednym miejscu, dzięki czemu mogę spokojnie leżeć pod jego gęstą koroną i rozkoszować się cieniem jego liści, osłaniających mnie przed palącymi promieniami słońca. — Tak medytował, ale jeszcze nie skończył swoich myśli, gdy nagle poczuł pod sobą lekkie poruszenie się gruntu i ujrzał, jak terebint, wyciągnąwszy z ziemi korzenie podobne do olbrzymich łap, ruszył przed siebie wzdłuż brzegu jeziora. Jonasz pozostał bez cienia nad głową, pod jarzącym się słońcem, które przypominało o tej porze dnia płonąca pochodnię. Jonasz zerwał się na równe nogi i począł biec za szybko oddalającym się drzewem, które wkrótce znikło za wzgórzem. „Co to znaczy?” — pomyślał przerażony Jonasz.

## 10

OD POWSTANIA ŚWIATA nic się nie zmieniło w jego porządku, ustalonym i kierowanym niezawodną ręką Przedwiecznego. Tak było i tej nocy. Na sześciu niebieskich piętrach jak w sześciu bezpiecznych gołębnikach spali aniołowie, a bezsenny Pan czuwał na siódmym najwyższym piętrze, w namiocie swoim, utkany ze złotych nici. O świcie pierwsi obudzili się aniołowie i napęlnili skrzydlatym trzepotem całe niebo. Ziewali i przecierali oczy, i przeciągając się rozpoczęli

ranne zajęcia: zgasili gwiazdy, wyczyścili niebo z pozostałych ciemności i zapalili słońce. I słońce natychmiast wzeszło i wypuściło z siebie niezliczoną ilość promieni, które biegnąc przed siebie wypełniły bezgłośnym świergotem i radosnym światłem cały przestwór. Wśród tej niezliczonej ilości promieni był jeden, który biegł szybciej od innych. Dlaczego szybciej od innych? Przypuszczamy, że przyczyną był prawdopodobnie cel, do którego dążył. A była nim izba w domu Jonasza, a właściwie nie tyle izba, co łoże, na którym spał Jonasz, a mówiąc ściśle — nie łoże, ale powieki Jonasza.

Jonasz otworzył oczy i, nieznacznie odchyliwszy głowę na bok ku ścianie, uwolnił się od wzruszającej, ale mimo to nadmiernej czułości promienia i — przerażony wyskoczył z łoża. Przypomnił sobie sen, który go w nocy nawiedził. Pamiętał go dokładnie ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami. Szybko umył się, ubrał i jak zwykł codziennie czynić, narzucił na siebie chustę modlitewną, a na czoło i na lewą rękę nałożył tefilin. Wykonywał te czynności nerwowo, z nadmiernym, ale zrozumiałym pośpiechem, albowiem w modlitwie zawsze upatrywał — jak wiemy — ratunek przed wszelkim złem. Zwróciwszy się twarzą w stronę Jerozolimy zaintonował pieśń ku chwale Pana, a chociaż trwoga ścisłała go za gardło, zapanował nad drżeniem głosu, i modulując go sprawnie i kunsztownie, dziękował Panu za otrzymane od Niego dobrodziejstwa.

— Kto śpiewa? — spytał zachwycony Pan, który

wprawdzie wiedział, kto śpiewa, ale niekiedy lubił stawiać pytania i otrzymywać odpowiedzi, za pomocą których potwierdzał przed samym sobą swoją nieskończoną wszechwiedzę.

— Śpiewa Twój sługa Jonasz — odparł stojący obok Anioł Pańskiego Oblicza.

— Aha — rzekł Pan i umilkł, jakby sobie coś przypomniał, co nie było zgodne z rzeczywistością, gdyż Wiekuisty wszystko zawsze pamięta, więc jakże miałby zapomnieć, że wczoraj wydał polecenie jednemu z najpiękniejszych swoich promieni, aby o świcie dnia dzisiejszego padł na powieki umiłowanego Jonasz.

## 11

JONASZ CAŁY DZIEŃ CHODZIŁ OSOWIAŁY. Po południu poszedł do synagogi i przesiedział w niej do wieczora, zamawiając psalmy od początku do końca, i od końca do początku. Gdy przez następne noce spał spokojnie, nie nawiedzany przez senne zmyry, wstąpiła weń otucha i umocniło się w nim przekonanie o błahym znaczeniu owego snu, który tak bardzo nim wstrząsnął. I zdawało się, że harmonia wróciła do jego duszy i domu, gdy znowu po kilku dniach nawiedził go sen, tym razem wprawdzie nieco jaśniejszy od poprzedniego, ale po-

nieważ był podobnie jak tamten wielce niepokojący, mąż sprawiedliwy wolał udawać, że go nie rozumie, co niestety świadczy nie tylko o jego skłonnościach do wykręcania się sianem z trudnych okoliczności, ale również o niezbyt wielkim zasobie jego wybiegów i forteli.

Cóż zatem śniło się Jonaszowi?

Śniło mu się, że wstał wczesnym rankiem, pożegnał się z rodziną, dosiadł swojego osła i udał się do jakiejś miejscowości — jej nazwy nie mógł sobie po obudzeniu przypomnieć — położonej na północy kraju. Ujechał już spory kawał drogi, gdy zmiarkował, że zamiast na północ jedzie na południe. Chciał zawrócić osła, ale zwierzę poczęło stawiać opór i mimo gorliwych zabiegów Jonasza — gwałtownego ściągania uzdy, potężnych razów i niewybrednych klątw — z przysłowiowym oślim uporem nie pozwoliło się zawrócić z raz obranego kierunku, co było tym dziwniejsze, że ten kłapouchy nigdy dotychczas nie zdradzał aż tak zawziętej zartwardziałości.

— Szatan w niego wstąpił! — krzyknął Jonasz, zsiadając z osła.

— W ciebie, nie we mnie — odpalił bez namysłu osioł. — Ja wiem, dokąd mam iść, ty natomiast nie wiesz, dokąd zmierzasz.

— Jak to nie wiem? — krzyknął Jonasz. — Jesteś głupim osłem i masz iść tam, dokąd ja ci każę.

A na to osioł:

— Mylisz się. To ty jesteś głupim osłem, a ja jestem mądrym Jonaszem.

Krew uderzyła Jonaszowi do głowy.

— Bydlę! — krzyknął i począł znowu okładać kijem grzbiet zwierzęcia.

— Przestań — szepnął osioł. — Przecież nie mnie, lecz siebie bijesz... Nie czujesz tego?...

Jonasz obudził się z krzykiem, czując na swoich plecach uderzenia własnego kija.

## 12

I OTO JONASZ UDAWAŁ, że nie rozumie snu. Przed kim udawał? Przed Bogiem czy przed sobą? Odpowiedź na to pytanie jest jednoznaczna i prosta. Jonasz wiedział, że Elohim jest wszechwidzący — El Roi! — i wszechwiedzący, i że przed Nim nic nie jest ukryte. Elohim wszystko wie o najmniejszym pyłku, o szeleście każdego liścia, o każdym człowieku i o każdej gwiazdzie zawieszanej na niebie. Jonasz nigdy nie ośmieliłby się wątpić o wszechwiedzy Pana, a jeżeli teraz, na przekór swojej wierze, udawał, że nie rozumie sensu nawiedzających go snów, korzystał jedynie z przysługującej mu wolnej woli, z niepodważalnego prawa danego łaskawie człowiekowi przez Wiekuistego. Mąż sprawiedliwy miał

prawo udawać, a Pan, chcąc nie chcąc, zmuszony był tę grę męża sprawiedliwego traktować z najwyższą powagą, chociaż było dla Niego jasne, że jest ona poniekąd żalosnym środkiem zmierzającym do uchylenia się od nałożonych na Jonasza obowiązków. Czy uchylenia się? Niezupełnie. Pan wziął pod uwagę głęboko ukryty zamysł Jonasza, który udając, że nie rozumie nawiedzających go sennych marzeń, usiłował za pomocą swej udawanej niewiedzy niejako zmusić Pana do ich jasnej i niedwuznacznej wykładni. I do tego Jonasz także miał prawo.

Tak rozmyślając Jonasz z ciężkim sercem podniósł się z łoża, umył się, zmówił modlitwę i — poszedł do stajni. Osioł stał spokojnie przy żłobie, racząc się smacznym owsem. Gdy poczuł dłoń pana na karku, podniósł łeb i spojrzał na Jonasza okrągłymi, wilgotnymi oczami, i niecierpliwie potrząsał ogonem, płosząc roje zielonych much, które obsiadły jego zad. Jonaszowi się zdawało, że osioł patrzy na niego z wyrzutem.

## 13

I ZNOWU KILKA NOCY upłynęło spokojnie. Jonasz nie nawiedzały żadne sny, począł więc pocieszać się myślą, że przecież nie wszystkie sny muszą mieć



charakter wróżebny, że przecież mogą być sny, ot, takie sobie mimowolne, nie przeznaczone do celów wyższych, bez głębszego znaczenia, wynikające z ubocznych działań nie tyle Boskich, co ludzkich. Ale czy istnieją wypadki i zjawiska bez znaczenia? — zadał sobie pytanie Jonasz. — Czy istnieją w ogóle w życiu takie układy zdarzeń, które nic nie znaczą? Które by nie były następstwem logicznych, dalekosiężnych i przewidujących zamierzeń kształtujących życie ludzkie według Bożego planu? Niech się dzieje wola Boża — westchnął z rezygnacją Jonasz, mając na myśli własną wolę, którą podstępnie chciał podrzucić Panu Bogu.

## 14

ZNOWU PO KILKU DNIACH nawiedził go nowy sen, najkrótszy, ale najbardziej niepokojący z dotychczasowych. Śniło mu się mianowicie, że jest gołębiem — ten symbol jest zrozumiały, bo „Jona” znaczy po hebrajsku „gołąb” — i przechadza się w poszukiwaniu ziarna po dziedzińcu swojego domu. Wtem ujrzał olbrzymiego orła, który krążąc nad jego głową, powiedział do niego ludzkim głosem:

— Jono, gołąbku, przybyłem, aby ci powiedzieć, że jesteś potrzebny Panu.

To powiedziawszy, znikł w obłokach.

Jonasz obudził się złany potem i natychmiast pomyślał: „Co to znaczy: »Jesteś potrzebny Panu«? Wszyscy ludzie są potrzebni Panu, podobnie jak Pan jest potrzebny wszystkim ludziom. Więc co znaczy: »Jesteś potrzebny Panu«? Po co mi Pan oznajmia to, co jest samo przez się zrozumiałe? Ale jeżeli mimo to oznajmia mi przez umyślnego posłańca powszechnie znaną prawdę, to na pewno znaczy ona coś innego, niż dotychczas znaczyła. Ale co? To, co orzeł powiedział, brzmiało niemal tak, jakby Panu była potrzebna moja pomoc. Pomoc? Bogu nie jest potrzebna marna człowiecza pomoc. Czy kropla wody może coś pomóc nieogarnionemu morzu, a ziarnko piasku niebotycznej górze? A znikomość Wieczności? A przemijalne Nieprzemijalności?” I znowu po raz trzeci zadał sobie pytanie: „Co to znaczy?” i natychmiast zapragnął podzielić się z kimkolwiek swoimi kłopotami celem zmniejszenia rozmiaru troski, która przygniatała jego serce. Poszedłby może do żony i wszystko jej wyznał, ale ogarnął go lęk przed ujawnieniem treści snu, w którym — o czym już teraz nie wątpił — przemawia do niego Obecność Pańska za pomocą obrazów przeznaczonych wyłącznie dla niego samego. Lepiej zatem nie mieszać nikogo do spraw dziejących się wyłącznie między nim a Bogiem. I Jonasz począł gorąco błagać Boga, aby zechciał odbyć z nim rozmowę w głębokim śnie. Uważał bowiem sen za miejsce do spotkań z Bogiem najbardziej bezpieczne i dogodne dla człowieka.

# 15

I STAŁO SIĘ, ŻE PAN WEJRZAŁ na Jonasza i wstąpił do niego przez nie domkniętą bramę snu. Aby jednak stroskanego męża nie uwikłać znowu w trudną sztukę odczytywania symbolów, w których łatwo mógłby się zagubić, Pan tym razem nie ukrył się za widzialnymi zasłonami, ale zjawił się sam jako niewidzialny Głos, czyli w kształcie zrozumiałym dla każdego prawego syna Izraela.

— Gdzie jesteś? — spytał Pan, lubił bowiem, gdy człowiek ujawniał przed Jego Obliczem swoją znikomą obecność i swoją odpowiedzią niejako stwierdzał pokorną gotowość do odbycia z Nim niełatwej rozmowy.

— Tu jestem — odparł Jonasz i zakrył twarz, bał się bowiem spojrzeć na niewidzialność Głosu Pańskiego.

— Prosiłeś mnie, bym przyszedł i odbył z tobą rozmowę. Mów.

Jonasz zadrżał, nogi pod nim się ugięły, ale szybko się opanował i nie odrywając rąk od twarzy, rzekł:

— Twój niegodny sługa dziękuje Ci pokornie za łaskę, którą mu okazałeś, Wiekuisty Panie. Niechaj będzie pochwalone Imię Twoje teraz i we wszystkich czasach.

— Amen — odparł Pan. — Przystąpmy do rzeczy. Czego chcesz ode mnie?

— Zesłałeś mi trzy sny, Panie, których nie rozumiem.

— Dałem ci wolną wolę nie po to, byś się nią posługiwał dla krętackich celów. Ale ponieważ wiem, że ludzie często nadużywają wolnej woli w zamiarach sprzecznych z moimi zamiarami, wyłożę ci te sny, abyś potem nie zasłaniał się ich zagadkowością. Nachyl uszy i słuchaj. Tak rzecze Jahwe Cebaoth: Pierwszy sen znaczy, że to Ja, Jahwe, jestem jak drzewo chodzące i w każdej chwili, jeżeli zechcę, mogę cię pozbawić mojego cienia. Drugi sen znaczy, że pójdziesz tam, dokąd ja zechcę, abyś poszedł, a nie tam, dokąd ty zamierzasz się udać. Trzeci sen znaczy, że uczyniłem cię narzędziem moich dalekosiężnych obietnic. Czy teraz rozumiesz, Jonaszu?

Jonasz padł na twarz i rzekł:

— Gdybym ośmielił się po tym, co usłyszałem, powiedzieć, że nie rozumiem słów Twoich, byłbym mężem grzechu i ojcem kłamstwa.

— Zatem? — spytał niecierpliwie Głos.

— Mam pewne wątpliwości...

— Jakie?

— Dotyczące mojej osoby... — tu Jonasz przezornie urwał.

— Dlaczego umilkłeś? — spytał Głos.

Jonasz dotknął głową ziemi i wciąż milczał.

— Wiem, o co ci chodzi, ale chcę, abyś głośno ujawnił swoje skrupuły, podobnie jak ja głośno ujawniłem moje żądania.

— Panie, nie znam celów, dla których mnie wezwałeś, ale wyobrażam sobie, że są one zbyt mądre i trudne, abym je mógł w Twoim świętym Imieniu urzeczywistnić. Jestem marny robak i nędzny pył, niegodny tak wielkiego posłannictwa.

— Wiem lepiej niż ty, czy jesteś, czy nie jesteś godny.

— Jestem tchórzem...

— Przesadzasz. Z moją pomocą męstwo wstąpi w twoje nerki.

— Jestem słabym człowiekiem, który nie potrafi udźwignąć tak wielkiego brzemienia...

— Znowu przesadzasz. Słabsi od ciebie dźwigali z mojego rozkazu cięższe brzemie niż to, które dla ciebie gotuję. A nie upadli pod nim.

— Jestem gwałtownikiem, Panie, nie umiem nad sobą panować...

— Do gwałtowników, a nie do obojętnych, należy niebo — odparł Pan.

— Panie, dlaczego właśnie mnie wybrałeś na narzędzie Twoich zamiarów, skoro masz do wyboru godniejszych i mądrzejszych ode mnie, bardziej odważnych i bardziej mocnych? — spytał z rozpaczą Jonasz.

Głos Pański milczał przez chwilę, a potem rzekł:

— Bo znalazłem upodobanie w twoich zaletach i wadach.

Jonasz uderzył głową o ziemię i spytał z rezygnacją:

— Więc co mam czynić, Panie?

Głos zaszumiał, zaszelaścił i odlatując, powiedział:

— Wkrótce o tym się dowiesz.

„Wkrótce o tym się dowiesz” — powtórzył z nieśmiałym wyrzutem Jonasz, budząc się z mało krzepiącego snu, bo pełna napięcie rozmowa z Panem nie mogła być odprężeniem i wypoczynkiem dla skołatanego męża. Cóż więc pozostało mu do zrobienia? Czekać. Cierpliwie czekać, modlić się, pościć, pościć przez długie dnie i tygodnie, bo post oczyszcza ducha i ciało, wzmacnia wolę, przybliża widzenie rzeczy niewidzialnych i wyostrza wrażliwość na wszelkie dobro. Więc Jonasz całymi dniami pościł, a poszcząc chudł, a chudnąc wzdychał, a wzdychając coraz częściej gładził z namysłem brodę, a jego oczy traciły swój pogodny, jasny blask, a w jego kruczej brodzie pokazały się pierwsze siwe nitki.

## 16

CZŁOWIEK ŚLEDZĄCY Z BOKU zachowanie się Jonasza, jego smutek i post, łatwo mógłby wyrobić sobie o nim krzywdzące zdanie. Jak to? Pan raczył nawiedzić męża i umieścić go w kręgu swoich zamiarów, a ten, zamiast radośnie klaskać i tańczyć, zachowuje się jak żalobnik po stracie ukochanej osoby? Czyżby Jonasz był niewdzięcznikiem? Nie. Jonasz był w pełni świadom

łaski, która na niego spłynęła, ale byłby niepomrotnie rad, gdyby wybór Pański padł na kogoś innego. Jonasz naprawdę nie czuł się na siłach sprostać rozkazom Pana, o których jeszcze nic dokładnie nie wiedział, ale przeczuwał — sam Pan dał mu to do zrozumienia — że będą one trudne do wykonania. Gdyby chociaż był młodzieńcem! Jest już stary. Wprawdzie krzepki, ale jednak stary. Jakże zatem ma wziąć w podeszłym wieku na swoje barki ciężkie brzemie konieczności, on, człowiek zmęczony życiem, trudem przeżytych lat? A może Pan się pomylił? Jonasz przeląkł się swojej myśli. Uderzył się dłonią w czoło. — Głupcze! Czy Pan może się omylić? Jahwe Cebaoth, Panie Wszechpotężny i Nieskończony, miłosierny Boże, pozostaw mnie w spokoju i pozwól mi dożyć bez wstrząsów kresu moich lat!

I Jonasz po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że nie jest już więcej w pełni szczęśliwy.

Aż pewnej nocy...

Aż pewnej nocy — mogło to się dzieć we śnie lub na jawie, ale równie dobrze i we śnie, i na jawie, albo nawet na pograniczu jawy i snu, albo też poza jawą i snem, w wymiarach niemożliwych do ustalenia dla ludzkiego rozumu — otóż pewnej nocy, Głos Pański przemówił do Jonasza, mówiąc:

— Przyszedłem do ciebie, aby ci powiedzieć, że biorę cię od dzisiaj w moje posiadanie i czynię cię sługą i posłańcem moich zamiarów. Zostawisz wszystko, co posiadasz, i pójdziesz tam, dokąd ja ci iść rozkażę.

Jonasz struchlał i nie patrząc w kierunku, skąd Głos dochodził, spytał:

— Żonę mam pozostawić? Dzieci? Dom?

A na to odrzekł Głos Pana:

— Rzekłeś, Jonaszu, synu mój.

Jonasz, słysząc te ojcowskie słowa, wielce się wzruszył, albowiem nie lada to zaszczyt i wyniesienie być nazwanym przez Pana synem Jego, ale równocześnie popadł w popłoch, świadom był bowiem, że odtąd już więcej nie należy do siebie. A poza tym zbyt dobrze znał Pismo Święte, aby nie wiedzieć, że ten, którego Jahwe nazywa synem swoim, skazany jest z Łaski Wszechwładnej Miłości na wielkie utrapienie i bezmiar boleści.

— Panie — szepnął Jonasz. — Jakże mam porzucić żonę moją?

— Nie troszcz się o nią. Sprawować będę ojcowską opiekę nad nią i nad dziećmi twoimi, i nad dziećmi ich dzieci.

— Co mam uczynić, Panie? — spytał Jonasz zdławionym głosem.

— Będziesz głosił słowo moje.

— Komu?

— Poganom.

— Poganom? — głos Jonasza załamał się.

— Tak.

— Dokąd pójdę, Panie?

— Do Niniwy.

— Do stolicy grzechu, zła i rozpusty?



— Dobrze powiedziałaś.

— Co tam uczynię, Panie?

— Będziesz szedł ulicami Niniwy, miasta bardzo wielkiego, i tam ogłosisz mieszkańcom, że ich nieprawość dotarła przed oblicze Jahwe. Wezwiesz ich do pokuty. Jeżeli się nie nawrócą, będą starci z powierzchni ziemi, a miasto ich zburzę. Jeżeli natomiast dadzą posłuch słowu twojemu, które będzie słowem moim, będą ocaleni i staną się dziećmi moimi.

— Co!? — krzyknął Jonasz. — Dziećmi Twoimi!?  
Twoim dzieckiem jest tylko Izrael!

— Słusznie, Jonaszu. Ale przez Izraela dostąpią zbawienia wszystkie ludy świata.

— I dlatego nas wybrałeś spośród wszystkich ludów ziemi, aby nas potem z nimi zrównać!? — krzyknął Jonasz. — I dlatego uczyniłeś nas wyspą samotną wśród niezmiernych wód pogańskich...

— Nie krzycz, Jonaszu — przerwał Pan. — Nie jestem głuchy. Wybraństwo znaczy samotność. Narzuciłem wam ją i kazałem wam żyć z dala od obcych ludów, abyście nie ulegli ich grzesznemu działaniu. Wasza samotność jest waszą godnością.

— I dlatego chcesz nam ją odebrać!?

— Jesteś o mnie zazdrosny... — z bólem powiedział Głos.

— A ty nie jesteś o nas zazdrosny?

— Gdybym nie był o was zazdrosny, przestalibyście istnieć.

Między Głosem a Jonaszem nastąpiła chwila napiętego oczekiwania.

— Co się potem stanie? — spytał ostrożnie Jonasz.

— Nie twoja rzecz wiedzieć, co potem będzie.

— Wybacz, Wiekuisty, ale skoro mam być wykonawcą Twojej woli, chciałbym wiedzieć, jakie będą owoce mojego posłannictwa.

— Błogosławione będą, Jonaszu.

— Dla kogo? Dla Ciebie? Dla mnie? Dla synów Izraela? Często mówisz niejasno i dwuznacznie, ujawniając tylko mały rąbek prawdy, wskutek czego powstają między ludźmi a Tobą powikłania i trudności, których by na pewno nie było, gdybyś mówił wyraźnie, bez osłonek i zbędnych niedomówień.

— Nie twoja rzecz, jak mam mówić do synów człowieczych — odparł Pan. — Znam ich lepiej od ciebie i wiem, jak należy zwalczać ich skłonności do zła.

— Niewielkie odniosłeś w tej dziedzinie zwycięstwa, Panie — bez namysłu wypalił Jonasz i przerażony umilkł.

Ale Głos Pański łagodnie odrzekł:

— Masz słuszość. Dlatego liczę na ciebie.

— Na mnie? Na słabego człowieka? Ja mam naprawiać to, czego Tobie się nie udało naprawić? — wybuchnął Jonasz i nie wiedząc, co mówi, zawołał w nadmiernej gwałtowności: — Po co stworzyłeś zło!?

— Nie ja stworzyłem zło.

— A kto?

— Człowiek.

— Więc dlaczego nie unicestwiłeś zła, które człowiek stworzył? Jesteś Wszechmocny! Wszystko możesz!

— Człowiek sam je stworzył i sam je musi unicestwić. Taka jest wola moja i takie jest prawo, które ustanowiłem.

— Więc dlaczego opuściłeś człowieka w jego walce ze złem?

— Nie opuściłem. Ja zawsze jestem z człowiekiem i wspieram go w zapasach z szatanem, ale pod warunkiem, że pożąda mojej pomocy.

— O, ileż razy pożył Twojej pomocy i mimo to poniósł klęskę w walce ze złem!

— Mylisz się. Zawsze zwyciężał, tylko nie umiał dostrzec swojego zwycięstwa. Biada ślepym. Błogosławieni widzący.

I Głos umilkł.

A Jonasz długo w sobie rozważał słowa Pana, po czym powiedział tonem wprawdzie nieco pouczającym, więc bardzo niestosownym, ale mimo to pojednawczym:

— Panie, powiedz mi, do czego jest Ci potrzebne nawrócenie pogan? Mało masz kłopotów z Izraelem? Jeżeli uczynisz pogan swoją własnością i zrównasz ich przed swoim obliczem z synami Abrahama, wtedy zobaczysz, ile kłopotów i utrapień zwali się na Twoje chwalebne i dostojne barki... Zobacysz... Nie rób tego... Namyśl się... Jeszcze jest czas...

— Zapominasz, do kogo mówisz — odparł Głos

i zmarszczył brwi. — Dlaczego podnosisz na mnie róg twoich upomnień i dlaczego przemawiasz do mnie zuchwałym gardłem? Wszystko dokładnie obmyśliłem. Cóż ty sobie wyobrażasz, krnąbrny zuchwalcze!? Że ja działałam bez namysłu!?

— Nie... Nie... — Jonasz mówił bardzo szybko, albowiem chciał szybkością swojej wymowy jak wartkim strumieniem wody ugasić ogień gniewu Pańskiego. — Nigdy mi taka myśl przez głowę nie przeszła. Nigdy. Przecież wiesz, Panie, że codziennie dziękuję Ci za doskonałość Twoich wszystkich dzieł. Wszystkich. Czy mógłbym wątpić o doskonałości Twoich zamiarów, skoro chwalebę doskonałość ich wykonania? Wiedz, Panie, że jeżeli użyłem tego niezbyt fortunnego wyrażenia, uczyniłem to jedynie w trosce o Ciebie. Panie, pozwól mi troszczyć się o Ciebie!

— To dobrze o tobie świadczy — odparł Pan nieco udobruchany — że troszczysz się o swojego Pana, ale moim zdaniem byłoby dla ciebie zdrowiej i skuteczniej, gdybyś raczej troszczył się o mowę swoich ust, które powinieneś otoczyć wysokim żywopłotem, aby nie wypelzło z nich złe i lekkomyślne słowo. Co się tyczy pytania, które ośmieliłeś się mi zadać, powiem ci tylko tyle, że jest ono przedwczesne i dlatego pozostawię je bez odpowiedzi do czasu przeze mnie ustalonego.

I Głos umilkł i odszedł.

# 17

JONASZ ROZMAWIAJĄC Z PANEM stawiał Mu drażliwe pytania i otrzymywał od Niego pełne pobłażliwej cierpliwości odpowiedzi. Czy z tego wynika, że człowiek traktował Boga jak równego sobie, a Bóg tej równości przyświadczał? O, nie! Z tego stosunku Boga do Jonasza i Jonasza do Boga nie należy wyciągać aż tak daleko idących wniosków. Bóg kochał Jonasza, ponieważ kochał cały lud wybrany. Jonasz kochał Boga nie tylko dlatego, że Bóg jest Bogiem, ale również dlatego, że uważał Go za Wielkiego Patriarchę całego plemienia izraelskiego. Izrael rozmawiał z Bogiem jak syn z ojcem, jak wnuk z dziadkiem, a Bóg rozmawiał z Jonaszem jak ojciec z synem, jak dziadek z wnukiem, czyli Bóg i Izrael rozmawiali z sobą jak członkowie jednego plemienia, związani z sobą węzłami krwi i ciała. Skutek tych obopólnych, nader bliskich stosunków był ten, że Pan dopuszczał Jonasza do niejakej poufności, godził się na stawianie pytań, a nawet chętnie z nim dyskutował, ale nigdy nie zezwalał mu na przekroczenie tej granicy, którą ustanowił na wieczne czasy między sobą a człowiekiem. Jonasz mając zatem świadomość nierozzerwalnych związków z Panem, uświęconych pochodzeniem od Niego całej wspólnoty Izraela, wiedział, że może dzięki tym przyrodzonym przywilejom i niepodważalnym prawom rodowym i plemiennym, obo-

wiążującym na całą wieczność, w każdej chwili stanąć przed Wiekuistym, Sędzią Najwyższym, Sprawiedliwym i Miłosiernym, wyłożyć Mu swoje żale i bóle, gorycze i krzywdy, i pokornie domagać się łaskawych wyjaśnień. Ale odległości, dzielącej go od niewidzialnego Pana, nigdy by nie ośmielił się przekroczyć. Ani myślą, ani słowem, ani czynem.

Taki był nie pisany układ między Bogiem a Izraelem i tego układu nigdy nie przekroczył ani Pan, ani Jego sługa.

## 18

JONASZ POSZEDŁ NAD JEZIORO, usiadł na podwiniętych nogach i kołysząc się rytmicznie tak przemówił do Pana:

— Uczyniłeś mnie, Panie, mężem szczęśliwym, dałeś mi wszystko, czego dusza moja zapagnęła, dałeś mi Siebie i spokój sumienia, dałeś mi dobre i uczciwe serce, i pobożność. Takie dary otrzymałem od Ciebie. A dawszy mi to wszystko, przyszedłeś teraz do mnie i odebrałeś mi szczęście moje i spokój i kazałeś mi porzucić żonę moją i dzieci, i dom, i iść do Niniwy, i przemówić do pogan. Panie, po co ja, biedny Jonasz, mam mówić do pogan i ich nawracać? Co mnie obchodzi

ich nieczystość? Niech zostaną nieczystymi! Niech grzeszą! Co mnie obchodzą ich grzechy? Po co ja mam mieszać się do nie swoich spraw? Oddaj ich, Panie, i ich kamiennych bogów Belialowi i wszystkim mocom piekielnym, a mnie pozostaw w spokoju. Panie, nie odbieraj mi spokoju, nie pozbawiaj mnie dachu nad głową i mojego łoża, i mojego stołu, i owoców mojej pracy, i nie wypędzaj mnie z domu na trud i włóczęgę. Panie, nie odbieraj mi szczęścia, którym mnie po-błogosławiłeś.

Pan, słysząc to, narzucił na siebie jak płaszcz szum wiosennego wiatru i z pośrodku wiatru przemówił do Jonasza tymi słowami:

— Wybacz, Jonaszu, ale mówisz nieroztropnie...

— Mówię o szczęściu, Panie — odparł Jonasz. — A szczęście jest wielkim skarbem.

— Słusznie — odpowiedział Pan. — Ale ty nie wiesz, co to jest szczęście. Szczęście nie jest w tym, w czym je upatrujesz.

— Więc co to jest szczęście? — spytał Jonasz.

— Wkrótce o tym się dowiesz... — odrzekł Głos.

— Znow mówisz niedomówieniami? — spytał niecierpliwie Jonasz.

Ale Pan nie odpowiedział.

Wiatr ustał.

# 19

## CZEKANIE NIE JEST ŁATWYM PRZEŻYCIEM.

Wprowadza czekającego w stan niepokoju i napięcia i wymaga od niego nieustannego czuwania. Pan miał wyjawić Jonaszowi istotę szczęścia, ale mąż sprawiedliwy podejrzewał, że za tym oświadczeniem kryje się jakaś tajemnica mająca związek z Niniwą i posłannictwem, które Wiekuisty mu wyznaczył. Bo przecież jest nie do pomyslenia, aby Bóg ni stąd ni zowąd ujawniał pierwszemu z brzegu śmiertelnikowi sens szczęścia, gdyby nie było ono częścią Boskiego i dalekosiężnego planu. Cóż to za plan? Ma iść do Niniwy — na samą myśl o tej wyprawie nogi Jonasza drżały i cierpły ze strachu — i tam ma głosić mieszkańcom ich nieprawość. Jak ma głosić? Co ma mówić? Jak ma mówić? Jak się mówi do nieczystych pogan? W imię Jahwe, którego nie uznają? Pan wprawdzie obiecał mu, że owoce przemówień będą błogosławione, ale błogosławione czym kosztem? Kosztem jego spokojnego życia? I to się ma nazywać szczęściem?

W tym miejscu Pan wtrącił się do medytacji Jonasza i wstąpiwszy w nie, jak się wchodzi w bramę otwartego domu, rzekł:

— Mądrze pomyślałeś, Jonaszu, ale mimo to mądrość twoja wciąż jest ograniczona i daleka od doskonałości, chociaż w wymiarach ludzkich można od biedy nazwać



ją skłonnością do mądrości. Dlatego udzielię ci nauki, abyś odtąd, kierując się nią, nie błąkał się po manowcach i krętych drogach nierozsądnych i bezowocnych dociekań. Twoje całe dotychczasowe życie nie było szczęśliwe. Tak ci się tylko zdawało. Złudzenie brałeś za prawdę. Chwileczkę... Ja teraz mówię, nie ty... Wiem lepiej niż ty, bo jestem Panem ludzkich losów i Ja stworzyłem niewidoczną między nimi granicę, tak niewidoczną, że oko ludzkie nie dostrzeże, gdzie kończą się losy dobre, a zaczynają się złe. Nic o tych sprawach nie wiesz. Niczego nie rozumiesz. Wiedz zatem, że prawdziwym i pełnym szczęściem człowieka jest wypełnienie mojej woli. Nie przerywaj mi... Nie mam zamiaru wprowadzać cię teraz w tajemnicę mojej woli. Jutro ruszysz w drogę, Jonaszu. Powstań, przepasz biodra i idź! Zrozumiałeś? — zawołał Głos głosem rozkazującym.

— Zrozumiałem, Panie — odparł niechętnie Jonasz.

## 20

WĄTPLIWOŚCI JAK SFORA dzikich psów obkoczyły Jonasza, opędzającego się kijem rozmaitych argumentów, w miarę mądrych, w miarę głupich, przed nacierającą nań psiarnią, która zmiarkowawszy, że mąż sprawiedliwy

drży przed nią z przerażenia i wietrząc w nim łatwą ofiarę, napastowała go z coraz większą zajadłością. Śledząc z boku szamotaninę biednego Jonasza, usiłującego uwolnić się od szarpiących go wątpliwości, bylibyśmy już skłonni postawić sobie pytanie, kto jest właściwym winowajcą jego dusznego zamieszania, ale wtedy musiałaby paść odpowiedź, że winę przede wszystkim ponosi Jahwe Cebaoth, albowiem On narzucił swój plan spokojnemu i niezdolnemu do tak wielkich i dalekosiężnych zadań mężowi, a dopiero potem sam mąż, który usiłując wydostać się wszelkimi sposobami z nastawionej przez Pana sieci, począł gwałtownie rozrywać jej oka. Ponieważ jednak Pan nie może ponosić jakiejkolwiek winy, gdyż jest dobry i doskonały, lepiej byłoby więc nie wdawać się w drażliwe i dwusieczne dialogi z obiema stronami, i ograniczyć się jedynie do argumentu biednego Jonasza, który wytracony nagle z codziennego trybu życia, znalazł się w położeniu nader trudnym i godnym głębokiego współczucia. Ale niełatwo jest oddzielić rację Boga od racji człowieka. Pan tak mocno związał Jonasza z sobą, że pisząc teraz o rozterkach wybranego męża, nie możemy go odłączyć od spraw Boga, Boga pozostawić — jeżeli można użyć tego ze wszech miar niewłaściwego wyrażenia — nieco na uboczu, a na plan pierwszy wysunąć sprawy ludzkie. I tak źle, i tak źle. Mimo to posługując się rozsądnymi — według możliwości — przesłankami, postarajmy się ostrożnie ocenić położenie Jonasza, który powinien jutro wyruszyć w drogę do

Niniwy. I oto już na samym progu naszych dociekań natrafiamy na materiał dowodowy nieco obciążający Pana Boga. Pan nie powiedział Jonaszowi, jak powinien postąpić z rodziną, czy ma się pożegnać z żoną i dziećmi, i domownikami, jak długo trwać będzie jego przymusowa nieobecność w domu, co ma wziąć z sobą w daleką podróż i jaką drogą ma się udać do Niniwy. Jonasz był nierad z takiego obrotu sprawy. Jeżeli Pan uczynił go swoim narzędziem — tak medytował — powinien był, jego zdaniem, dać mu polecenia dokładne i wyczerpujące we wszystkich, nawet najmniejszych szczegółach związanych z posłannictwem, a nie z jednej strony narzucać mu swoją wolę, a z drugiej pozostawiać mu wolną rękę w działaniu i podejmowaniu decyzji. Jeżeli ma być narzędziem Pańskim, chce być nim w pełnym tego słowa znaczeniu, biernym i bezsilnym wykonawcą, całkowicie poddanym woli Wiekuistego. Jonasz z prostej wygody bał się wszelkich dowolności i wynikających z nich uchybień. Nie chciał być odpowiedzialny za taki czy inny swój krok i stać się przyczyną nieprzewidzianych powikłań. Jest na rozkazy Pana. Skąd jednak ma wiedzieć, czy Pan życzy sobie, aby pożegnał się z rodziną? Co ma w takim razie powiedzieć żonie i dzieciom? A jeżeli powie coś, co się Panu nie spodoba? Albo powie coś za dużo, albo za mało? Przecież jeżeli ma działać w Imieniu Pana, Pan musi kierować krokami jego nóg i słowami jego ust.

Jonasz nigdy nie wątpił o słuszności Bożych wy-

roków, nawet takich, z którymi trudno mu było się pogodzić. Zdarzały się wprawdzie niekiedy wypadki, gdy prawował się z Panem, ale były to spory niewinne i polegały na swobodnej wymianie poglądów, to znaczy Jonasz pokornie i nieśmiało wypowiadał swoje mniemanie i był zawsze z góry gotów wyrzec się przed obliczem Pana swoich ocen i sądów, gdyby Pan tego od niego zażądał. A ponieważ sposób dowodzenia Pana był zawsze druzgocący, Jonasz z nieklamany zadowoleniem uznawał się za pokonanego i z pokorą godną pochwały wycofywał się skwapliwie ze swojego stanowiska. Pan, znając skłonności Jonasza do dyskusji, patrzył na te wybryki z ojcowskim pobłażaniem, a nawet ze wzruszającą wyrozumiałością. Ale tym razem nie mieściło się w głowie Jonasza, że Wiekuisty, wybrawszy go na wykonawcę swoich dziejowych wyroków, nie zaopatrzył go w ściśle wskazówki i pouczenia, według których powinien działać, wypełniając święte posłannictwo w tak niecodziennych okolicznościach i warunkach. Gdyby chodziło o zwyczajnego śmiertelnika, Jonasz określiłby taki sposób bycia jako lekkomyślny i opieszale, a przede wszystkim podważający zaufanie do zleceniodawcy, ale ponieważ wieczny i niewidzialny Twórca Wszechświata, Pan nieba i ziemi, nie może działać lekkomyślnie ani opieszale, pozostaje tylko jedna możliwość, przerażająca możliwość, tłumacząca wszystkie zawilości i organizacyjne niedostatki! Jaka możliwość? Jonaszowi pociemniało w oczach. Poczul, jak drżą fundamenty ziemi, a wraz

z fundamentami ziemi chwieją się jego wszystkie myśli i uczucia, a wraz z myślami i uczuciami drży, chwieje się i dygocze całe jego przeszłe, teraźniejsze i przyszłe życie, wszystkie jego doświadczenia i wszystkie doznania, cała budowla jego istnienia, którą zawsze mądrze i przezornie budował! Co pozostało z tej budowli? Grozą przejmujące podejrzenie, że ten, który zjawił się w jego snach i podawał się za Pana, nie był... Panem!? Zamęt i chaos — tohu wabohu! — ogarnęły głowę Jonasza! Zaprawdę! Skąd ma pewność, że głos, który słyszał w snach i na jawie, jest rzeczywiście Głosem Boga? Rozkaz Jego jest tak niewiarygodny, że każe wątpić o Boskości ust, które go wypowiedziały, a jego istota — nawrócenie pogan i zrównanie ich z synami Abrahama, Izaaka i Jakuba — jest tak sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem i z Bożą Obietnicą, daną Izraelowi, że nie może przecież pochodzić od Jahwe, ale od kogoś, usiłującego plany Pańskie pogmatwać, zawikłać, pokrzyżować, wywrócić, po prostu od mocy przeciwnej Bogu i Jego Obietnicy! Czyżby zatem pod Głos Pański podszyła się jakaś zła moc, może jeden z owych demonów, który chcąc zakpić z człowieka i sprowadzić go na błędne drogi, naśladuje w sposób udolnie-nieudolny Obecność Pańską, i to z taką godną podziwu umiejętnością i dokładnością, że tylko wytrawne ucho bogobojnego człowieka, wyczulone na wszelkie subtelności Bożych Objawień, potrafi odróżnić prawdę od kłamstwa?

Tak zadręczał się Jonasz, a ponieważ w głębi serca

pragnął uwierzyć w prawdziwość swoich podejrzeń, poczęły one zamieniać się z magiczną sprawnością w bezsporne dowody, a dowody błyskawicznie przeobraziły się w niezbite fakty, a fakty w niezachwianą pewność, że to Belial we własnej osobie nawiedził go w snach i na jawie.

## 21

I MAŻ SPRAWIEDLIWY POSTANOWIŁ szukać ocalenia w ucieczce przed kuszeniem Beliala, który posiada wprawdzie wrodzoną zdolność posługiwania się różnorodnym podstępem i niezliczoną ilością uwodzicielskich kłamstw, ale nigdy nie był wszechwiedzący i wszechwidzący, co było zresztą powodem żywiołowej nienawiści, jaką żywił do Boga. Jonasz znał naturę Beliala i wiedział, że jest on dzięki temu upośledzeniu ograniczony w swoim działaniu, i dlatego każdy człowiek, jeżeli naprawdę chce, może ze zmianą miejsca — są przecież miejsca nawiedzone przez Zło! — wyzwolić się spod jego władzy, zmylić jego czujność, zbiec przed jego pokusami i drapiezną zachłannością, i ukryć się w miejscu bezpiecznym. Gdzie jest miejsce bezpieczne? Na pewno znajduje się ono po przeciwnej stronie miejsc, wybranych i nawiedzonych przez Beliala, który sprzeciwiając się Bogu i będąc Jego zaprzeczeniem, upatrzył na swoje siedziby obszary

szczególnie podatne na szatańskie zdrady i knowania. Dla Jonasza stało się jasne, że skoro według złowrózbnego rozkazu miał udać się na wschód, do Niniwy, do ojczyzny rozpusty i ohydy — do ziemi jakże duchowo pokrewnej Belialowi! — dobrze będzie, jeżeli ucieknie w kierunku wręcz przeciwnym, czyli na zachód!

Wiele słyszał o bogatym i odległym Tarszyszu, o mieście srebra, ołowiu i cyny, położonym na krańcu ziemi, za wielkim morzem, u stóp gór, za którymi codziennie zachodzi ogniste słońce. W tej krainie zamierzył się ukryć. Zatem musi udać się do Jaffy, aby tam wsiąść na statek płynący na zachód. Wszystkie te zabiegi wymagały potajemnego działania. Jak zatem powinien zachować się wobec żony i dzieci? Czy ma ich wtajemniczyć w swoje plany? Czy ma odejść cichaczem, bez pożegnania? Jedna i druga możliwość była niewłaściwa. Nie chciał odsłonić przed rodziną swoich dusznych utrapień ani ujawniać pobudek, dla których postanowił odjechać i schronić się w dalekiej krainie, ani tym bardziej miejsca, do którego zamierza się udać. Powodzenie planu zależy od zachowania ścisłej tajemnicy o przyczynie i celu ucieczki. Ale równocześnie nie uważał za godne głowy rodziny zbiec cichaczem z domu bez udzielenia błogosławieństwa żonie i synom, i córkom, i wnukom. Na szczęście przypominał sobie, że kiedyś, przed laty, nosił się z myślą nabycia bogatych w miedź terenów w Beth Szemesz i zbudowania tam pieców do wytopu tego metalu, i w tym celu miał udać się do Micraim

po zakup potrzebnych narzędzi. Potem z jakichś powodów zarzucił ten plan, a teraz przypomniawszy go sobie, pomyślał, że w związku ze swoją ucieczką mógłby się nim jako wybiegiem nader skutecznie posłużyć. A gdyby tak powiedział rodzinie, że udaje się do Micraim celem urzeczywistnienia swoich dawnych zamiarów? Ten pomysł wydał mu się szczęśliwy! Mógłby za pomocą niego upozorować wyjazd! W miarę był prawdą — bo przecież chciał ongi zbudować piec do wytopu miedzi — i tylko w miarę kłamstwem, bo wprawdzie nie udaje się do Micraim, i nie ma zamiaru kupować narzędzi, ale przecież przybywszy do Tarszyszu mógłby zapoznać się z pracą w tamtejszych kopalniach, i wtedy już niewiele pozostałoby kłamstwa w jego rozważnym wybiegu. W końcu — jak w takich razach często się zdarza — pozory zaczęły tracić na pozorach, zmyślenie ustępowało przed zmyśleniem, wybieg przed wybiegiem, i spoza zasłony zręcznych urojeń wyłoniła się prawda, która nie będąc prawdą mogła od biedy w tych trudnych okolicznościach odegrać rolę wątpliwą prawdę. Na pewno to tłumaczenie nie należało do najrozsądniejszych i najuczciwszych, i rzuca pewien cień na Jonasza, ale zważywszy trudności i kłopotliwe położenie, w jakim się nasz cierpiętnik znalazł, powinniśmy powstrzymać się teraz od wydawania nań wyroku, ani go nie potępiać, ani nie pochwałać za wątpliwą wartośći spryt, ale cierpliwie czekać dalszego rozwoju wydarzeń, które pozwolą na sprawiedliwą ocenę jego działania.



I Jonasz jak postanowił, tak uczynił. Pewnego wiosennego dnia — wczesna wiosna jest najlepszą porą do podróży — powiadomił żonę i dzieci, że po długiej rozwadze i głębokim namyśle powrócił do dawnych planów budowy pieców do wytopu miedzi i dla urzeczywistnienia tych zamierzeń wyjeżdża do Micraim, że jego droga będzie długa i żmudna, a pobyt w huc haarec potrwa przez długą ilość dni i nocy. Prosił, by byli o niego spokojni i modlili się o jego szczęśliwy powrót. Posłuszni świętym prawom nakazującym posłuszeństwo głowie rodziny i szacunek dla jej słów, nie śmieli go pytać o szczegóły, zwłaszcza że na samym początku wypowiedzi powołał się z naciskiem na swoją rozwagę i głęboki namysł.

Jonasz wziął z sobą chustę modlitewną, tefilin, kij, parę sandałów, wór z wodą, mieszek z pieniędzmi — wetknął go głęboko za pas — pobłogosławił rodzinę w Imię Boga Abrahama, Izaaka i Jakuba, z czcią ucałował mezuzę, i dosiadłszy osła, ruszył przed siebie w drogę.

Pojechał...

## 22

TRZECIEGO DNIA PODRÓŻY dotarł do Jaffy, która była dużym i ludnym miastem portowym, położonym w krainie Dan, zamieszkałej zarówno przez

synów Izraela, jak i kupców filistyńskich i kanaańskich. Ponieważ na tym skrawku wybrzeża mieszkało wielu pogan, Jonasz, trwożąc się o czystość duszy i ciała, postanowił wzmóc czujność swoich oczu, podniebienia i palców, aby nie skalać się lekkomyślnym spojrzeniem, niewłaściwym pożywieniem i nieopatrzny dotykami. Przypomniawszy sobie jednak, że przez port jaffski mądry Salomon i równie mądry Zerubabel sprowadzili fenickie drzewo pod budowę Świątyni Pańskiej w Jerozolimie Hakodesz, Jonasz wzbudził w sobie zaufanie do miasta i już z radosnym poczuciem bezpieczeństwa jechał jego ulicami, które ongi były świadkami uroczystej zwózki smukłych cedrów libańskich, mających upiększyć Przybytek na Górze Moria. I jadąc środkiem rojnej ulicy, baczny okiem spozierał na sklepy i kramy, a przede wszystkim śledził twarze przechodniów, chcąc wybadać, którzy spośród nich są synami Izraela, a którzy wyznawcami kamiennej ohydy. A ponieważ synowie Izraela posiadali nieomylny instynkt, za pomocą którego umieli się wzajemnie znajdować nawet w niezliczonym tłumie obcokrajowców, wcale nie zdziwiło Jonasz, gdy nagle usłyszał nad swoim uchem:

— Baruch haba! Błogosławiony, który wstępuje w nasze progi!

— Baruch ha! Błogosławiony Pan! — zawołał Jonasz radosnym głosem.

Zsiadł z osła i objąwszy nieznanego, spytał go:

— Po czym brat poznał, że jestem synem Izraela?

— Po ośle — odparł przechodzień. — Właścicielem takiego pięknego osła może być tylko prawowity potomek naszego praojca Abrahama.

— Rzekłeś — powiedział z zadowoleniem Jonasz. — Moje imię jest Jona ben Amittaj z Galilei. A twoje?

— Menachem ben Saul z Jaffy.

— Jak ci się powodzi? — spytał pospiesznie Jonasz takim tonem, jakby przybył do Jaffy wyłącznie po to, by przywitać się ze swoim bliskim i starym znajomym Menachemem, którego od wielu lat nie widział.

— Z woli Elohim nieźle. A tobie?

— Jak może się powodzić synowi Izraela, który jedzie w daleki świat? — odparł Jonasz.

— A brat dokąd jedzie?

Jonasz wskazał wyciągniętą ręką przed siebie, potem dłoń jego poczęła w powietrzu powoli zakreślać jakieś esy floresy, a były to ruchy tak niewyraźne i wieloznaczne, że z równym prawdopodobieństwem mogły wskazywać jedną stronę świata, jak i wszystkie strony świata równocześnie. Menachem odczytał ten zespół ruchów w sposób właściwy, to znaczy domyślił się, że Jonasz ma przed sobą jeszcze długą i trudną drogę. Spojrzał na Jonasza ze współczuciem i zadał mu jeszcze kilka dalszych pytań, spośród których kilka miało charakter czysto grzecznościowy, nieobowiązujący, i tylko jedno, ostatnie, było niezwykle ważne i wymagało jasnej i niedwuznacznej odpowiedzi:

— Po co brat udaje się w tak długą i mozolną drogę?

— W sprawach rodzinnych — odparł bez namysłu Jónasz, i natychmiast zawstydził się we wnętrzu swoim z powodu kłamstwa, którego się dopuścił. Przypomnił sobie powiedzenie ojca swojego — niechaj Elohim czuwa nad jego duszą — który zwykł mawiać: „Kłamstwo rodzi kłamstwo” i wbrew swej woli, odruchowo, jakby chciał potwierdzić mądrą słuszność ojcowskiego ostrzeżenia, powtórzył, tym razem zbolalym szeptem:

— W sprawach rodzinnych... — ale wypowiedział te słowa takim głosem, że Menachem mógł się w nich dosłuchać — jeżeli posiadał czuły słuch, a na pewno posiadał — jakichś kłopotliwych powikłań i trudnych doświadczeń.

Jonasz zakłopotany opuścił głowę. Jego myśl gorączkowo pracowała. Czy to, co powiedział, było naprawdę kłamstwem? Przecież prawdą jest, że przeżywa kłopotliwe powikłania, że jest ofiarą trudnych doświadczeń i podróżuje w nader niepomysłnych okolicznościach. A na pewno jest prawdą, całkowitą i niepodważalną, że Pan Niewidzialny i Nieskończony jest najwyższą i niedosięzną Głową ludu Izraela, świętym Patriarchą każdego rodu, Praojcem dwunastu pokoleń, a przecież Jonasz z powodu tego Pana, Patriarchy i swojego Praojca, dla wiary w Niego i dla wierności dla Niego, opuścił cichą Galileę i ruszył w daleką i niebezpieczną podróż! Czyżby więc dopuścił się kłamstwa, wyznając Menachemowi, że odbywa podróż w rodzinnych celach, skoro ucieka przed Złym w dowód wierności dla Ojca swego i dla

zbawienia duszy swojej? I Jonasz otarł łzę. A Menachem widząc tę łzę wzruszył się, a wzruszywszy się, zaprosił Jonasz do swojego domu i zaofiarował mu gościnę u siebie.

## 23

I JONASZ PRZEBYWAŁ W DOMU MENACHEMA przez cały tydzień, uczestniczył w Szabatowej uczcie, a wieczorem dnia siódmego wraz z całą rodziną gospodarza uroczyście zęgnął Królową świąt, i wszyscy razem spożywali smaczne potrawy, i wszyscy razem błogosławili Wiekuistego i dary Jego, i wino, i pachnące zioła, i korzenie. Po czym Menachem, po odmówieniu końcowych modlitw, wylał pozostałe w kielichu wino na srebrny, pięknie rzeźbiony półmisek i zanurzył w nim stojącą obok płonącą lampkę oliwną. Płomień zasyczał i zgasł. Skończyło się święto Szabatu. Wtedy powstał Jonasz ben Amittaj, wznosił ręce do nieba i zaśpiewał psalm o opiece Elohim nad Izraelem:

Pan jest moją opoką  
I na niej zbudowałem mój dom.  
Radośnie czerpię wodę  
Ze źródeł zbawienia,

Które biją z Ciebie,  
Panie Zastępów,  
Boże Jakuba,  
Twierdzo Izraela!

Niechaj światło i radość,  
Którymi obdarzyłeś naszych ojców,  
Spłyną na nas  
I na nasze dzieci  
Od pokolenia do pokolenia.

Niechaj będzie błogosławione  
I uświetnione,  
I wywyższone,  
I uwielbione,  
Święte Imię Twoje,  
Opoko nasza,  
Źródło zbawienia,  
Panie,  
Który jesteś wyższy  
Nad wszelkie błogosławieństwo,  
Nad pieśni  
I psalmy,  
I dziękczynienia!

Panie,  
Zapisz nas  
W Księdze Życia,  
Abyśmy po śmierci  
Dalej żyli!

Panie,  
Zapisz nas!

Jonasz śpiewał, a biesiadnikom się zdawało, że otwarły się nad nimi niebiosy. Śpiewał jeden Jonasz, jeden głos płynął z jego gardła, jeden głos z jednego człowieczego gardła, a biesiadnikom się zdawało, że to niezliczone chóry anielskie śpiewają przy wtórze ośmiostrunnych cytr. Więc kołysali się w rytm tego śpiewu i kiwali głowami, i w podziwieniu rozkładali ręce, całkowicie poddani jego pięknu, ale nikt z nich nie odważył się głosem swoim towarzyszyć wniebowstępującemu głosowi Jonasza, i dlatego tylko ruchem kołyszących się ciał i spojrzzeniami zamglonych oczu dawali wyraz zachwytowi, który rozpałał krew w ich żyłach. Gdy Jonasz przestał śpiewać, słuchacze trwali w milczeniu uniesieni do siódmego nieba.

Menachem uszanował tę ciszę, ale jej nie przedłużył. W podniosłych słowach wygłosił pochwałę Jonaszowego głosu i śpiewu, zaprawdę darów Boga! — Modlitewny śpiew — powiedział — łatwiej i szybciej dociera do Boga niż zwyczajna, mówiona modlitwa. Mądrość pra-ojców powiada, że śpiew otwiera bramy nieba. Słuchając śpiewu Jonasza, wspinaliśmy się wraz z nim po misternie kształtowanych dźwiękach jak po szczeblach drabiny, do Świętego Miejsca, nieomal do stóp Wiekuistego. I chyba nie będę odosobniony, jeżeli powiem, że nasz umiłowany gość dzięki zaletom swojego głosu uczynił nas niejako współwykonawcami swojego natchnionego śpiewu. Niechaj będzie błogosławiony galilejski śpiewak, który z woli Pana umie niebiańską melodię synom

człowieczym przekazać! Cieszymy się, że było nam dane słuchać tego śpiewu i zapamiętajmy sobie, co mówi mądrość naszych praojców: „Ten, który posiadał zdolność umiejętnego słuchania mądrych i pobożnych słów, jest prawie jak ten, który je wypowiada” — to powiedziawszy Menachem nisko pokłonił się Jonaszowi i ucałował kraj jego szaty.

A Jonasz stał zawstydzony z powodu tylu niezasłużonych pochwał, ale mimo swej pokory był z nich wielce rad, albowiem podtrzymywały go one w przekonaniu o niedoścignionych walorach jego słuchu, o którego sprawności, jak każdy człowiek skromny, niekiedy wątpił, co było dla niego, zwłaszcza ostatnio, w związku z owym głosem nawiedzającym go we śnie i na jawie, źródłem dusznych niepokojów i wahań. Ale teraz umocnił się w przeświadczeniu o bystrości swojego słuchu, któremu zawdzięczał rozpoznanie głosu Belialowej pokusy.

## 24

NASTĘPNEGO DNIA JONASZ WSTAŁ wcześnie rano, udał się do synagogi na modlitwę, ofiarował datek na najbiedniejszych w mieście, i powróciwszy do domu



Menachema, pożegnał się z gospodarzem, z rodziną jego i domownikami, podziękował za gościnę, polecił ich wszystkim Opiece Pańskiej, dosiadł osła i ruszył do portu.

A w porcie barki, łodzie i żaglowce, kołysane lekkim wiatrem, i tłumy przekupniów, żeglarzy, rybaków, pośredników handlowych, pieniędzy, żebraków, a wszystko to zanurzone jak mucha w smole w rosnącym skwarze dnia, w nawoływaniach i krzykach różnojęzycznych, w zapachu gnijących owoców, ludzkiego potu, zwierzęcych odchodów, przypalonej cebuli i smażonej na oliwie baraniny. Jonasz nie wiedział, co z sobą począć w tym rozgardiaszu i zamęcie, wśród wrzasku portowych tragarzy, głośnych rozmów i kłótni kupców ubijających targ z przybyłymi zza morza dostawcami. Siedząc na osle, na środku portowego placu, spoglądał z politowaniem, jak przystało na mędrca, na falujący tłum, który z nieumiarkowaną zachłannością rzucał się na towary, skory zawsze do bójk o najdrobniejszy ochłap zarobku. Nie był to budujący widok. Ale rozgardiasz rozgardiaszem, a zamęt zamętem, nawet w największym zamieszaniu można odnaleźć — z Pomocą Bożą — to, czego się szukało. I Jonasz znalazł przysłowiową szpilkę w stogu siana, albowiem szczęśliwym zrzędzeniem losu zawarł znajomość ze stojącym obok niego jakimś obco-krajowcem, który po krótkiej, ale nader serdecznej wymianie zdań, okazał się właścicielem i dowódcą statku, odpływającego za kilka godzin do Tarszyszu!

Dowódca, Fenicjanin z Tyru, człowiek o miłej i budzącej zaufanie powierzchowności, dowiedziawszy się od Jonasza o zamierzonej jego podróży do Tarszyszu, ofiarował mu za niewielką zapłatą miejsce na swoim statku, dużym, pięknym, dobrze zbudowanym dwumasztowcu, zaopatrzonym w dwa rzędy wiosel — Jonasz wytrawnym okiem znawcy natychmiast ocenił wszystkie te zalety — brzuchatym, szerokim, którego dziób, ozdobiony wytwornie rzeźbioną głową konia, nadawał całości zgrabność i lotność. Dowódca spodobał się Jonaszowi i statek spodobał się Jonaszowi, i głowa konia spodobała się Jonaszowi, i dlatego chętnie i szybko przystał na propozycję Fenicjanina. Nadzieja wstąpiła w zmęczoną duszę uchodźcy. Bez znużonych poszukiwań znalazł poczciwego właściciela statku i piękny statek. Nie musiał uganiać po porcie, szukać, dowiadywać się, błagać, przekonywać, tłumaczyć. Wszystko ułożyło się łatwo i składnie i odbyło się tak, jakby Bóg przekazał go ze swoich opiekuńczych rąk do opiekuńczych rąk żeglarza, który w swojej wzruszającej prostoduszności nawet go nie spytał, kim jest, skąd pochodzi i po co podróżuje po świecie. — Co za szczęście! — zawołał w swoim wnętrzu Jonasz i podziękował Elohim za łaskę opieki podczas wędrówki, za bezpieczną ucieczkę przed Złem, za znalezienie statku, którym wygodnie popłynie do Tarszyszu. I Jonasz uwierzył gorącym sercem, że Elohim idzie przed nim jak obłok ognisty, że kieruje każdym

jego krokiem, że go ujął za rękę i prowadzi przez wielką wodę do miejsca wielkiego bezpieczeństwa. Utwierdził się w przekonaniu — dziwiło go tylko, że często potrzebne mu jest utwierdzanie się w słuszności raz obranej drogi — że Tym, który go prowadzi ku ocaleniu, jest Elohim — Chwała Jego Imieniu! — a tym, przed którym ucieka, jest Pełzający. I wszystko, co dotychczas wydawało mu się krzywe, zaczynało się powoli, powoli prostować...

## 25

JONASZ POSPIESZNIE UDAŁ SIĘ do domu Menachema, podarował mu osła — nie obeszło się bez powtórných, wylewnych życzeń i wzajemnych błogosławieństw — i wrócił do portu. Było już południe, gdy wsiadł na statek. Podniesiono kotwicę. Gorący, wschodni wiatr uderzył w żagle, wypełnił je i statek począł oddalać się od lądu. Dowódca statku złożył ofiarę bogom i wraz z załogą modlił się o pomyślną podróż. Modlił się długo i żarliwie, śpiewając fenickie pieśni. Jonasz, chociaż żywił dobre uczucia dla swojego dobroczyńcy, na wszelki wypadek odwrócił głowę, by nie widzieć jego pogańskich praktyk. Patrzył ku oddalającym się brzegom, aż złota smuga piasków, gaje palmowe i kamienne domy Jaffy znikły w słonecznym żarze, po czym usiadł w cieniu

masztu, na zwoju lin, i w milczeniu odmawiał Psalmy. Pomodliwszy się słowami napisanymi przez Dawida i uświęconymi przez Boga, począł w milczącej żarliwości wyrzucać z siebie własne, niezdarne, kulejące słowa, które przy Pańskich brzmiały jak skrzywienie żaren przy grze na cytrze. Przeprosił zatem Pana za chropowatość swej wewnętrznej mowy i dziękował Mu za okazaną opiekę, dobroć i łaskawość, dzięki którym siedzi teraz bezpiecznie na pokładzie i może spokojnie oddać się spokojnemu skupieniu. I znowu dziękował Mu za znajomość, którą zawarł z poczciwym właścicielem statku, za mocno zbudowany statek, za życzliwość, jaką mu okazali żeglarze, za ich uśmiechy i poufałe poklepywania po ramieniu, za ich śpiew dochodzący z dolnego pokładu, i za przychylny wiatr dmący w pięknie rozdęte żagle.

Gdy skończył modlitwę, rozejrzał się po bezbrzeżnym widnokregu, potem po niebie, potem jego wzrok ześlizgnął się po masztach i zatrzymał na żeglarzach krzątających się na pokładzie. Wiązali i rozwiązywali liny, przetaczali beczki, przynosili towary z miejsca na miejsce, nawijali łańcuch na bęben. Jonasz pomógł jednemu z nich, siwemu niewolnikowi o zmęczonej twarzy, czerpać wiadrzem wodę morską, którą starzec polewał rozpalony pokład. Niewolnik spojrział z wdzięcznością na Jonasza i rzekł:

— Dziękuję ci, panie...

A Jonasz oparł się o maszt i patrząc przed siebie, głęboko się zadumał: — Poganie nie są tak złymi ludźmi,

jak to sobie pierwotnie wyobrażałem. Są wśród nich ludzie dobrzy jak właściciel statku, i są ludzie biedni, godni współczucia, jak ten stary niewolnik. Mają bogów, wprawdzie ślepych, głuchych, bezwolnych i nie wiedzących, ale do nich się modlą i oczekują od nich pomocy. Wszyscy ludzie oczekują pomocy. My od Elohim, oni w swojej głupocie od... — w tym miejscu jego myśli umilkły i zadygotały przerażone, gdyż jeszcze chwila, a w zapale myślenia wypowiedziałyby lekko-myślnie obok świętego Imienia imię pogańskiej ohydy! I Jonasz natychmiast podziękował Panu, że mu pozwolił w porę niezawodnym milczeniem oddzielić niepokalaną Chwałę od brudu, i począł rozmyślać o własnych losach. Zdumiało go, że dotychczas nie gryzła go troska o przyszłość, która nań czeka w Tarszyszu. Uciekł. Zmylił czujność Beliala. I co dalej? Dotychczas nad tym się nie zastanawiał. A teraz owładnęło nim kojące poczucie wielkiego bezpieczeństwa, którego dostąpi u celu podróży. Tarszysz urósł w jego wyobraźni do rozmiarów warownej twierdzy, do której Belial nie ma dostępu. Naszła go błoga pewność, że w tym nie znanym mieście dozna radosnego zadośćuczynienia za niepokój i udrękę ostatnich tygodni, za czujność swoją, której zawdzięcza ocalenie od zła, za trudy ucieczki. Przybędzie do Tarszyszu i wtedy nagle stanie się coś — nie wiedział co — co mu pozwoli wrócić do umiłowanej Galilei, do domu, do rodziny, ale już poza zasięgiem czającego się na niego Beliala, który więcej go nie będzie nawiedzać ani

na jawie, ani we śnie, a przede wszystkim nie ośmieli się podszywać pod Głos Pana Cebaoth. Przyszłość uśmiechnęła się do Jonasza. Świat znowu stał się piękny.

## 26

STATEK, KIEROWANY NIEZAWODNĄ RĘKĄ swojego właściciela, płynął spokojnie na zachód pod pełnymi żaglami. Woda była spokojna i niebo było spokojne. Jonasz przyglądał się z pokładu skokom igrających delfinów i mewom krążącym nad statkiem i był pełen podziwu dla dzieła Elohim, który stworzył tak piękny świat, wprawdzie często groźny i najeżony niebezpieczeństwami, ale mimo to pociągający swoją wielobarwnością i powabem. Jonasz poczuł w sercu przyływ wdzięczności dla Pana za Jego pomysłowość w tworzeniu niezliczonych i niepowtarzalnych treści. Wierzył, że nie ma na świecie dwóch takich samych ludzi ani dwóch takich samych cedrów, ani dwóch takich samych osłów, ani dwóch takich samych ryb. Bóg Izraela jest Bogiem nieprzebranej różnorodności stanowiącej doskonałą Jedność! I Jonasza rozparła duma, że taki Bóg jest Bogiem jego i jego praojców! I nie wiadomo już po raz który pomyślał z uwielbieniem o Wiekuistym, który za pomocą nieskończonej i niezachwianej mądrości

dokonał tylu cudów! I mąż sprawiedliwy, jak nigdy dotychczas, zrozumiał swoją niewdzięczność, którą odpłacał się Bogu za wszystkie Jego dobrodziejstwa, i jak nigdy dotychczas poznał marność swoich uczynków, którymi chciał uwielbić Pana, i nędzę swoich słów, tych głośnych i milczących, którymi usiłował Go chwalić.

Słońce zachodziło. Czerwona smuga światła przepo-  
łowiła wody jak ognisty miecz archanioła, i topniejąc  
nasycała je szkarłatną posoką. Jonasz, zwróciwszy się  
ku wschodowi, narzucił na siebie chustę modlitewną  
i począł prosić Pana o przebaczenie i odpuszczenie  
win:

Zaprawdę czyha we mnie grzech  
Jak szkał,  
Ale Ty racz mnie oczyścić, Panie,  
Wodami Twojego miłosierdzia  
I powiedz mi:  
Przebaczyłem...

Ognistą kratą zamknij paszczę kusiciela,  
Przepędź go biczem Twojego gniewu  
I powiedz mi:  
Przebaczyłem...

Panie, dla zasługi moich praojców,  
Zetrzyj ze mnie winę  
I postaw obok mnie  
Opiekuńczego anioła,  
I ześlij z wysokości widomy znak Twojej łaski,  
I powiedz mi:  
Przebaczyłem...

Panie, wejrzyj na moją skruchę,  
I przyjmij błaganie moje,  
Świątynio miłosierdzia,  
Rozgrzeszycielu grzesznych,  
Ukoicielu płaczu,  
I zwróć twarz ku mojej modlitwie,  
I powiedz mi:  
Przebaczyłem...

Tak modlił się Jonasz w promieniach zachodzącego słońca, a dowódca statku i żeglarze, i niewolnicy, patrząc na niego, radzi byli, że mają wśród siebie męża sprawiedliwego, na którego wejrzy, w razie potrzeby, jego Bóg. Nigdy bowiem nie ma za wiele opieki Boskiej podczas żeglugi, zawsze grożącej nieprzewidzianymi niebezpieczeństwami, dobrze jest zatem podróżować w towarzystwie ludzi pobożnych, umiejących rozmawiać ze swoimi bogami i żyjących z nimi w zażyłej przyjaźni.

## 27

**JONASZ UDAŁ SIĘ NA DOLNY POKŁAD, wy-**  
ciągnął się wygodnie na posłaniu i zmęczony przeżyciami pomyślnie minionego dnia, spokojnie usnął.

A tymczasem od zachodu nadciągała ławica czarnych



chmur. Z nastaniem ciemności morze stało się nieruchome, a powietrze gorące, gęste, duszne. Gwiazdy świeciły rudym blaskiem, zamglonym i niepewnym. Statek płynął w ciszy i tylko słycać było miarowe uderzenia wiosel o wodę. Nagle, bez żadnych wstępnych przygotowań, bez świstów i pomruków, dalekich grzmotów i błyskawic, tych zwiastunów nadciągającej burzy, gorący wichur zwałił się na statek, rozkołysał go, wcisnął w topiel, poderwał dziobem ku górze i z ogłuszającym łoskotem zanurzył w ryczącej, spienionej kipieli. Równocześnie zakołysały się gwiazdy, zamigotały, zbladły i zgasły. Statek dygocąc, miotany bezwolnie, zataczał się w gęstych ciemnościach, skakał, wykonywał nieskładne ruchy i był jak pijany olbrzym, który zadaje ciosy na oślep, na prawo i na lewo, broniąc się przed nacierającym nań tłumem, usiłującym go obezwładnić. Próżna była ta walka z żywiołem. Burzę ogarnął szal. Ze strzaskanych masztów zwisały podarte płótna, które szarpane przybierającym wciąż wichrem, podobne były do kołyszących się wisielców. Prysnęły sterowe wiosła. Żeglarze, wiosłarze i niewolnicy, ogarnięci rozpaczą, zbili się w bezkształtny kłęb i uczipieni belek, lin i resztek masztów, wzywali swoich bogów i błagali ich o ratunek, wsłuchując się z rosnącym przerażeniem w łoskot, który dochodził z głębi statku jak z piekielnej otchłani i towarzyszył ich żarliwym modłom. To na dolnym pokładzie obluzowały się liny, którymi umocowane były skrzynie, beczki i worki z towarem, wskutek czego

statek za każdym uderzeniem wichru niebezpiecznie się przechylał na lewą, to na prawą burtę, grożąc położeniem się na bok.

Dowódca krzyknął:

— Pod pokład! Wyrzucić cały ładunek za burtę!

Runęli pod pokład i zataczając się na chwiejących nogach, wynosili wory, skrzynie i beczki, i ciskali je na przemian wśród modłów i przekleństw w paszczę gniewnego żywiołu, który im zachłannie połykał zdobycz, z tym większą wściekłością rzucał statkiem, jakby drwił z morderczego wysiłku żeglarzy.

Tymczasem dowódca biegnąc ku schodom, prowadzącym na pokład, spostrzegł spokojnie śpiącego Jonasza. Chwyił go za ramię, i potrząsając nim, krzyknął:

— Wstawaj!

Jonasz obudził się, przetarł sklezione snem powieki i spokojnie spytał:

— Co się stało?...

— Wstawaj! — wrzasnął dowódca, chcąc przekrzywić ryk wichru i morza. — Statek jest w niebezpieczeństwie! Wołaj do swojego Boga! Może twój Bóg wspomni o nas i nie zginiemy!

Jonasz zerwał się z posłania.

# 28

SILNY KOŁYS STATKU rzucił go o ścianę. Podniósł się, dowlókł do tylnego pokładu, kurczowo trzymając się poręczy. Ociekając wodą, zmoczony do nitki, z trudem łapał oddech. Wycierał raz po raz oczy, które zalewała woda, i z przerażeniem patrzył na potrzaskane maszty i zerwane reje, leżące pokotem na pokładzie, i zmęczone twarze wioślarzy, próbujących wiosłować ostatkami sił. Statek wyglądał jak łachman. — Czyżbym miał zginąć w morskiej otchłani? — przez głowę Jonasza jak iskra przebiegło rozpaczliwe pytanie, a im dłużej czekał na odpowiedź, tym groźniejsza stawała się jego bezradność. Wargami słonymi od morskiej soli počzął belkotać postrzępione wersety pokutnego psalmu, ale jego strach był mocniejszy od jego modlitwy. Dlatego nie przyniosła mu ona upragnionej ulgi i nie natchnęła go ufnością w Opatrzność Boską. Leżał na pokładzie samotny w bezsilności swojej, i był jak pusty i zwiotczały bukłak, nikomu niepotrzebny. Błyskawica rozdarła niebo i Jonasz ujrział wewnątrz swojego ciemnego wnętrza, a nad nim oślepiającą światłość, a z owej światłości odezwał się Głos, a był to Głos bez głosu i bez słów, cały ukształtowany z płonącego milczenia, a płonące milczenie, podobne do wulkanu buchającego rozpaloną lawą, ognistymi kamieniami, żużlem i popiołem, zbliżało się do Jonasza, osaczało go szczelnie ze wszystkich

stron, osaczało jego ciemne wnętrze, wsączało się w to ciemne wnętrze wszystkimi porami jego jestestwa i skrząc się, i rozpryskując, i wybuchając, rozsadzało je wciąż przybierającą światłością! I Jonasz ben Amittaj poznał Głos Pański! Ten sam, który mu kazał iść do Niniwy! Ten sam, przed którym teraz ucieka! Jak mógł on, który posiada czuły i niezawodny słuch, wziąć Głos Pana za głos Beliala!? Chyba Belial odebrał mu słuch! A było to przeżycie tak wstrząsające, że Jonasz gotów był natychmiast przerwać ucieczkę, zawrócić z drogi i rozpocząć wędrówkę do Niniwy, ale czy mógł wykonać ten nad wyraz rozsądny i zbożny zamiar, skoro morska burza jak krwiożerczy i ryczący lew legła w poprzek jego drogi? Było za późno. Nie miał pewności, czy z tej przygody wyjdzie cało. Zbyt wielki był grzech jego nieposłuszeństwa, by Pan mu okazał łaskę i wybaczył. A miał przed chwilą naoczne dowody Jahwicznego gniewu. Czyżby musiał tę burzę zgłębić do samego jej dna? — Biada mi! Biada! — jęczał, dygotał i w rozpaczliwym zapamiętaniu bił się oburącz w piersi, a czynił to tak gwałtownie, jakby chciał z nich wytrząsnąć wszystkie nagromadzone w nich grzechy.

# 29

DOWÓDCA STATKU PRZYCZOŁGAŁ SIĘ pod pokład i wezwał do siebie załogę i Jonasza, i tak do nich przemówił, mówiąc:

— Rzucimy losy, aby się dowiedzieć, z czyjego powodu spadło na nas to nieszczęście... Jestem człowiekiem doświadczonym w żeglarskim zawodzie i niejedną przeżyłem przygodę morską, więc nikt mnie nie zdoła przekonać, że burza, która wokół nas szaleje, jest zjawiskiem przypadkowym lub bezmyślną igraszką przyrody. W tej burzy kryje się jakaś myśl, której ja wprawdzie nie umiem ani określić, ani tym bardziej nazwać, ale przeczuwając jej złowróżbne zamiary, staram się zapobiec ich skutkom. Jest wśród nas ktoś, kto naraził się swoim bogom, rozdrażnił ich i sprowadził na nas ich gniew. Wydaje mi się, że powinniśmy rzucić losy...

To powiedziawszy, rozdzielił między nich kamyki, a oni oznaczyli je imionami swoimi i wrzucali do urny. Dowódca zanurzył w niej dłoń i wśród śmiertelnej ciszy wyciągnął los. Padł na Jonasza. Kilkadziesiąt par oczu spojrzało na siedzącego z opuszczoną głową winowajcę, kilkadziesiąt par uszu wyteżyło słuch, aby usłyszeć, co on powie.

Dowódca podszedł do męża i położywszy mu dłoń na ramieniu, spytał zduszonym głosem:

— Powiedz, jaka jest twoja ojczyzna i z jakiego rodu pochodzisz?

— Jestem Hebrajczykiem — odparł Jonasz, podniósłszy głowę. — Oddaję cześć Jahwe, Bogu nieba, ziemi i morza...

— Coś uczynił — spytał dowódca — że spadło na nas to nieszczęście?

— Uciekłem przed Jahwe, przed Bogiem moim... — odpowiedział Jonasz, i upadłszy na twarz począł głośno się modlić: — Panie Zastępów, ja zgrzeszyłem. Nie oni. Mnie ukarż, ale nie ich. Oni są niewinni. Cierpią z mojej przyczyny, więc błagam Cię, oszczędź ich, ocal ich i wyrwij z morskiej paszczy, aby mogli żyć i powrócić do swoich rodzin... Niechaj mnie wody Twoje, Panie, pochłoną wraz z moimi grzechami, które przeciw Tobie uczyniłem, i wraz z nieposłuszeństwem, którym karmiłem się obficie! Panie, pozwól mi za nich umrzeć, a ich ocal z morskich odmętów i postaw na twardej ziemi, na wysokiej skale. Mnie ukarż! Nie ich! Oni są niewinni!

Tak modlił się Jonasz, a wszyscy słuchali z zapartym tchem jego błagalnych słów, których wprawdzie nie rozumieli, ale po gestach rąk błagalnika, po zawodzącym jego głosie i twarzy łzami zalanej pojęli, że czyni pokutę przed swoim Bogiem. Gdy umilkł, współczuli mu i ostrożnie go spytali:

— Co mamy z tobą począć, aby morze przestało nam grozić?

A Jonasz odpowiadając im, rzekł do nich:

— Podnieście mnie i wrzucie do morza, a morze przestanie wam grozić.

A oni naradzając się między sobą, wątpili, czy należy uczynić, jak im Jonasz doradził. — Jak to? — mówili. — Człowieka prawego mamy wrzucić do morza? Wprawdzie twierdzi, że jest grzesznikiem, ale czy grzech jego jest aż tak wielki, że dopiero jego własna śmierć mogłaby go odkupić? A czy my wszyscy nie jesteśmy grzeszni? Czy my wciąż nie uciekamy przed naszymi bogami? Jeżeli tak, to każdy z nas winien jest tej burzy. A gdyby nawet Hebrajczyk popełnił grzech wołający o pomstę do nieba, czy jego skrucha nie jest większa od jego grzechu? Czy Jahwe, który według Jonasza stworzył niebo i ziemię, i morze, ma oczy zamknięte na ludzką skruchę? Czy Bóg, który stworzył tyle piękności i dobra, może być Bogiem mściwym i okrutnym, i nie przebaczącym? — tak mówili, i gubiąc się w swoich domysłach, nie wiedzieli, co począć, zwłaszcza że ich zdaniem pokorna skrucha, którą wyznał Jonasz, oczyściła go z jego grzechu i powinna zmiękczyć serce Jahwe. Ale któż może wiedzieć, kim jest Jahwe? Więc dowódca statku, zbliżywszy się do Jonasza, spytał go:

— Powiedz nam, kim jest twój Bóg?

Odparł Jonasz:

— Jahwe Cebaoth jest Bogiem miłosiernym...

— Jeżeli twój Jahwe jest Bogiem miłosiernym — zawołał dowódca statku — to nas na pewno uratuje!

I zwracając się do wiosłarzy, krzyknął głosem pełnym otuchy:

— Módlmy się do Jahwe i chwycicie za wiosła!

Więc rzucili się do wiosła i zawzięcie wiosłując, modlili się do Jahwe, a woda łamała ich wiosła, a oni wciąż wołając do Nieznanego Boga, tłumaczyli Mu, że powinien przebaczyć Jonaszowi, i tak do świtu borykali się z burzą, która coraz gwałtowniej na nich nacierała, i z Bogiem, który ich nie wysłuchał. A gdy nastał poranek podobny do nocy, opadając z sił, znów zebrali się na naradę, a dowódca tak powiedział do Jonasz:

— Twój Bóg jest złym Bogiem...

A na to odrzekł Jonasz:

— Nie wiesz, kim jest Jahwe, Bóg Izraela.

— Powiedziałeś, że twój Bóg jest miłosierny. Jakże On może być miłosierny, skoro mimo twoich i naszych modlitw nie chce na ciebie wejrzeć, a na domiar złego i nas chce wraz z tobą ukarać, chociaż w niczym Mu nie wadzimy.

— Miłosierdzie Boże polega na tym, że Bóg daje człowiekowi możliwość pokuty i nawrócenia, bo każdy grzech musi być odkupiony, a bez odkupienia nie ma pokuty. Za mały grzech małe odkupienie, za wielki grzech wielkie odkupienie. Moja wina jest wielka...

— I to nazywasz miłosierdziem? To jest handel. Twój Bóg jest mądrym kupcem, ale miłosierny nie jest.

— Ty nic nie rozumiesz, bo jesteś gojem. Nasz Bóg nie jest kupcem. Każdy kupiec czyha na zarobek. A nasz



Bóg ma za nic wszystkie zarobki. Jest tylko sprawiedliwy. Jeżeli widzi, że człowiek jest oporny i głuchy na jego wołanie, w miłosierdziu swoim zmusza człowieka do odkupienia grzechu. Mój Bóg jest przyjacielem człowieka i pożąda jego czystości...

— No dobrze... Ale czego chce od nas? Przecież nie jesteśmy Jego wrogami?

— Bóg chce, abym oddał za was życie...

— Dlaczego?

— On już wie, dlaczego... — odparł z goryczą Jonasz.

— No, to skacz do morza, Jonaszu!

— Jakże mam skakać — odpowiedział Jonasz — skoro Bóg żąda, abyście wy byli wykonawcami mojej dobrowolnej śmierci.

— Skąd o tym wiesz? — spytał zakłopotany dowódca statku.

— Bóg chce, żebyście mnie złożyli w ofierze dla zbawienia waszego i mojego. Taki jest Jego sposób bycia.

— Bóg ci to powiedział?

— Nie chciej za wiele wiedzieć. Wykonaj rozkaz Boga!

— Nie widzę powodu, dla którego, z woli jakiegoś nieznanego Boga, mamy być zbrodniarzami i przelewać twoją krew.

— Nie bluźnij! Nie lekceważ Boga Izraela, człowieku! Wrzućcie mnie do morza, abyście nie pomarli i byli ocaleni!

A oni słysząc to szeptali między sobą, a wtedy Jonasz zawołał wielkim głosem:

— Uczyńcie, co wam kazałem!

A oni rzekli:

— Niech się dzieje wola twojego Boga, Jahwe!

To powiedziawszy wzięli Jonasz i powiedli go, i wrzucili do morza, które otwarło swoją paszczę i żarłocznie pochłonęło ofiarę.

W tej chwili burza uciszyła swój gniew, a morze stało się łagodne i gładkie jak jagnięca sierść.

## 30

A JONASZ? JONASZ, PORWANY podwodnymi wirami, opadał bezwładnie jak kamień w morską otchłań, nogami wyrzuconymi ku górze, głową ku dołowi, i tak lecąc w głąb morza, ujrzał się w jakimś czarnym leju, u którego dalekiego wylotu żarzyło się oślepiające światło. Niesiony wartkim nurtem czuł, jak go ogarnia błoga cisza niosąca z sobą ukojenie, z każdą chwilą pełniejsze i doskonalsze. Zdawał sobie sprawę, że z chwilą gdy dotrze do żarzącego się u wylotu światła, osiągnie szczyt szczęścia, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doznał. Nagle światło zgasło. Równocześnie zgasła w Jonaszu

błoga cisza i zagasło ukojenie. „Gdzie jestem?” — pomyślał, i rozejrzawszy się dokoła, stwierdził, że znajduje się w miejscu mroku, w samym środku nieprzeniknionych ciemności, zamkniętej niewidzialnymi ścianami, które tworzyły nieprzekraczalną granicę między nim a morską otchłanią. Miejsce to było podobne do cysterny, może do jaskini, a może do grobu. Do grobu? Jonasz ben Amittaj zaczął szczerkać zębami, a owo szczerkanie uświadomiło mu, że chociaż znajduje się w grobie, to wciąż zaliczony jest między żyjących, ale to uczucie nadspodziewanie nie było ani radosne, ani podnoszące na duchu. Przeciwnie. Wraz z wygaśnięciem żarzącego się światła u wylotu czy na dnie leja — Jonasz z nadmiaru wrażeń już się nie rozeznawał w topografii tego miejsca — wszelka radość ulotniła się z duszy niedoszłego topielca. Jest to określenie nieściśle, bo Jonasz był jeszcze topielcem, chociaż niepełnym. Odzwierciedleniem tego dwuznacznego stanu była pełnia świadomości Jonasza, że wciąż jeszcze przebywa pod wodą i równocześnie, że będąc topielcem umie jasno i logicznie ocenić nieprawdopodobieństwo swojego położenia. Żyjący topielec! Nie do wiary! I Jonasz już zamierzył rozważyć swą fantastyczną przygodę, ale natychmiast dał spokój niepotrzebnym i płochym dociekaniom, albowiem od pewnego czasu nagromadziło się w jego życiu tyle niewiarogodnych zdarzeń i zjawisk, że chcąc je wszystkie po kolei zrozumieć i pojąć, musiałby

mieć chyba na karku głowę niepośledniego mędrca, a takiego wyróżnienia nie był przecież godny.

I wtedy usłyszał Głos Pana:

— Gdzie jesteś, Jonaszu ben Amittaj?

— Tu jestem, Panie — odparł Jonasz, ale zachował ostrożność i nie zwrócił twarzy w stronę, skąd Głos dochodził.

— Gdzie?

— W przepaści morskiej! Tonę, Panie!

— Ulegasz złudzeniu — odparł spokojnie Pan. — Posłałem Wielką Rybę, która cię połknęła. Siedzisz sobie w jej brzuchu i szczękasz zębami, zamiast zmówić dziękczynną modlitwę. Jesteś niewdzięczny, Jonaszu...

— Panie, skoro twierdzisz, że siedzę w brzuchu Wielkiej Ryby, to na pewno w nim siedzę, chociaż nie powiem, by to było miejsce przestronne i wygodne. Ale nie chodzi o wygody. Uszy moje, słysząc Twój Głos, uradowały się wielką radością. Bądź pochwalony, Panie, skało mojego ocalenia.

— No, wreszcie podziękowałeś. Jak się czujesz?

— Jak może. się czuć człowiek, który od dłuższego czasu znajduje się pod Twoim szczególnym i baczным nadzorem? Mam same kłopoty. Na ziemi, na wodzie i pod wodą...

— Sam sobie jesteś winien.

— Tak. Ale niezupełnie. W moich kłopotach masz, Panie, niejaki udział i to niepośledni.

— Nie trzeba było uciekać.

— Zdawało mi się...

— Nic ci się nie zdawało. Masz dobry słuch, którym się szcycisz i pysznisz przed obliczem bliźnich, a nie umiesz odróżnić Głosu mojego od głosu Beliala? Uda-  
wałeś, Jonaszu, udawałeś. Dobrze wiedziałeś, że to ja  
do ciebie przemawiam.

— Byłem głupcem, Panie.

— Kłamiesz. Nie zasłaniaj się głupotą. Wiesz przecież,  
że nie jesteś głupi.

— Słusznie, Panie. Jestem kłamcą.

— Okłamałeś mnie, a potem ludzi. Okłamałeś żonę  
swoją i dzieci, i poczciwego Menachema, który ci udzielił  
gościny w domu swoim. Podróżujesz w celach rodzin-  
nych? Co?

— To kłamstwo nie jest dalekie od prawdy...

— Niby, że jesteśmy krewni?

— Tak, Panie. Sam często powoływałeś się na to  
pokrewieństwo. Nazywałeś nas swoimi dziećmi.

— Niewdzięcznymi dziećmi...

— Ale dziećmi.

— Krnąbrnymi...

— Jesteśmy krnąbrni, ale wierni...

Głos westchnął. I Jonasz pomyślał, że westchnienie  
Pańskie jest tak samo wzruszające jak westchnienie  
ludzkie i bardzo się rozrzewnił z powodu tego westchnie-  
nia, i bardzo się zawstydził z powodu tylu trosk, których

Panu przysporzył. Żal mu się zrobiło Pana. I zawstydzony, w odpowiedzi na westchnienie Pańskie, tak rzekł, mówiąc:

— Zgrzeszyłem. Błagam Cię, przebacz mi.

— Wy, ludzie, zawsze liczycie na moją pobłażliwość i łaskę.

— Panie, wejrzyj na moje dobre uczynki. Połóż na jednej szali Twojej świętej wagi dziewięćdziesiąt dziewięć moich dobrych uczynków, a na drugiej mój grzech nieposłuszeństwa.

A na to odpowiedział Jahwe, mówiąc:

— Nie chwal się. Dziewięćdziesiąt dziewięć dobrych uczynków nie czyni tyle dobra, ile zła czyni jeden zły uczynek. Dlatego dziewięćdziesiąt dziewięć dobrych uczynków nie zrównoważy jednego złego uczynku. Biada wam, którzy na sto uczynków czynicie dziewięćdziesiąt dziewięć dobrych, a jeden zły! Biada wam!

Głos Pański uniósł się i z gwałtowną zapalczywością krążył przez chwilę nad dygoczącą duszą Jonasza, ale szybko złagodniał i tkliwie go spytał:

— Wydaje mi się, Jonaszu, że podczas morskiej przygody poznałeś nieco bliżej pogan. Co sądzisz o nich?

— Ci ludzie byli sprawiedliwi i dobrego serca.

— Też tak sądzę.

— Ale wątpię, czy wszyscy poganie są tacy.

— A czy wszyscy synowie Izraela są sprawiedliwi i dobrego serca?

— Nie. Ale wierzą w Ciebie.

— Tym gorzej dla nich, że wierząc we mnie, czynią niesprawiedliwość.

— Słusznie. Ale w miłości swojej dałeś nam proroków, którzy nas karzą za nieprawość i grzechy. Czy także poganom dałeś przewidujących proroków?

— Ty będziesz ich prorokiem — odpowiedział rzeczowo Pan. — Dałeś już dowód, że umiesz umrzeć za pogan.

— Tak, Panie... — odparł skonfundowany Jonasz.

— Poświęciłeś się dla ich ocalenia...

Jonasz, zwiesiwszy głowę, szepnął:

— Tak, Panie... Uczyń ze mną, cokolwiek zechcesz. Jeżeli zechcesz, bym umarł, z radością umrę, jeżeli zechcesz, bym żył, z radością żyć będę. Weź moją wolę jak garncarz bierze do ręki miękką glinę i ukształtuj ją według swej woli. Czekam, Panie...

Głos Pański podniósł się i zawołał rozkazująco:

— Idź do Niniwy, Jonaszu!

A Jonasz rzekł:

— Panie Zastępów, niezbadane i niedocieczone są Twoje wyroki. Wielu z nich nie rozumiem. Moimi pięćmi nędznymi zmysłami nie umiem Ciebie poznać i zgłębić Twojej mądrości. Wiem tylko tyle, że Cię kocham. Moja miłość jest całą moją wiedzą o Tobie, Panie, pozwól, abym Cię zawsze i wszędzie kochał. Jestem Twoją własnością i tym się szczycę, Panie. Pójdę do Niniwy.

To powiedziawszy rozłożył szeroko ręce i w nieprzeniknionych ciemnościach, we wnętrzu Wielkiej Ryby,

podniosłym hymnem począł wielbić Pana, a śpiewał pełną piersią, mistrzowsko kształtując dźwięki, które wzajemnie się przenikały i wiązały w uroczysty wieniec chwały. Śpiew wypełnił wnętrze Wielkiej Ryby, potem wszystkie otchłanie morza, wypłynął na jego powierzchnię i wzbił się wysoko pod niebo ku podziwowi i zdumieniu ptactwa niebiańskiego, któremu się zdawało, że to śpiewa sam święty Ptak, Ptak nad ptakami, ich skrzydlaty Pan i Władca.

A Jonasz śpiewał:

Ścigałeś mnie, Panie,  
I doścignąłeś,  
I wtrąciłeś do otchłani,  
W serce morza,  
A wszystkie Twoje fale i bałwany  
Przeszły nade mną,  
Ale wejrzałeś w dobroci Twojej  
Na niewiernego sługę,  
Matacza i nikczemnika,  
Nieposłusznego,  
Który chcąc obejść Twoje rozkazy  
Uciekał przed Głosem Twoim.

Bądź pochwalony, Panie,  
Albowiem doścignąłeś mnie  
I ugiąłeś mój twardy kark,  
I doświadczyłeś trwogą i śmiercią,  
A potem podniosłeś z dna grzechu,  
I przywróciłeś do życia.  
Bądź pochwalony,



Panie Pościgu,  
Panie Dościgający!

Pan, słuchając tego śpiewu, pomyślał, że kiedyś w przyszłości, po śmierci Jonasza, powoła duszę jego na przodownika anielskich chórów, śpiewających u stóp niebieskiego tronu.

I dał znak Wielkiej Rybie, aby wyrzuciła Jonasza na brzeg.

## 31

KAŻDY BRZEG MORSKI jest błogosławiony. Każdy brzeg morski jest znakiem ocalenia. Każdy brzeg morski jest ziemią matczyną. Jonasz leżał na brzegu, na piasku. Otworzył oczy i ujrzał nad sobą błękitne niebo. Gdzie jest? Skąd się tutaj wziął? Co tu robi? Uniósł się nieco na łokciach i poczuł w kościach ból, który wkrótce przywrócił mu pełną świadomość. Przypomniawszy sobie statek i burzę, i żeglarzy wrzucających go do morza, i oślepiające światło i ciemność, dokoła której bezradnie krążył, aż w końcu ujrzał siebie, jak wpływa do jej wnętrza. Wszystkie te wrażenia odbierał niezwykle wyraziście, chociaż nie wiedział, czy ta przygoda była snem czy jawą, czy snem przetykanym jawa, czy jawa przetykana snem, czy może to nie był ani sen, ani nie była jawa,

ale jakaś trzecia rzeczywistość, którą wprawdzie głęboko przeżył, ale nie umie znaleźć dla niej właściwego miana. Zastanowiło go, że pamięta dokładnie całe zdarzenie, a ta pamięć szczegółów była w nim tak silna, że niewiele brakowało, a Jonasz pod jej działaniem, a na pewno wbrew swej woli, mógłby bez trudu przenieść się do grobu Wielkiej Ryby, co Pan mógłby poczytywać za karygodną próbę sprawdzenia minionych wypadków przez niewdzięcznego niedowiarka. Jonasz nie miał zamiaru sprawdzać Bożego działania, gdyż będąc człowiekiem pobożnym, ślepą ufność pokładał w Panu, a poza tym pochodząc z rodu męża wskrzeszonego, oswojony był ze świętym misterium odrodzenia i odnowienia przez śmierć, która była dla niego drogą prowadzącą do życia, czego nowe i oczywiste dowody zdobył podczas swej morskiej przygody. Jeżeli zatem piszemy o niezawodnej pamięci Jonasza i związaną z nią możliwością powtórzenia czasu minionego w czasie teraźniejszym, czynimy to tylko po to, aby uzmysłwić czytelnikowi, że wszystko, co mąż sprawiedliwy przeżył w sercu morza, nie było urojeniem wyobraźni, ale rzeczywistością bardziej rzeczywistą od tej, którą teraz przeżywał, leżąc na brzegu morskim, na piasku iskrzącym się w gorących promieniach słońca.

Jonasz podniósł się z ziemi, wyprostował zbolale kości i stwierdziwszy z zadowoleniem, że ma za pasem mieszek z pieniędzmi — w warunkach, w jakich się znalazł, były one, niezależnie od Pomocy Bożej, nieodzownym

środkiem umożliwiającym mu w miarę wygodną podróż do Niniwy — ukląkł, wyciągnął ręce do nieba i zmówił dziękczynną modlitwę na chwałę Boga, za szczęśliwy powrót do życia. Pokrzepiony modlitwą jak pożywnym chlebem, poprawił pas na biodrach i ruszył przed siebie w długą drogę na wschód, do Niniwy.

## 32

JONASZ NIE WIEDZIAŁ, jaka odległość dzieli go od Niniwy, czy ma do niej daleko, czy blisko, czy wędrować będzie przez rok, czy przez lata, a może do końca życia, ale był pewien, że idąc wciąż na wschód dojdzie do Miasta Grzechu i Nicości. I Jonasz szedł przez góry, doliny i rzeki, przez lasy i łąki, przez wielkie i bogate stolice, przez rojne miasta i miasteczka, i ubogie wsie, przez żyzne ziemie i przez pustynie, doświadczył wiele radości i smutków, wzniosłych uczuć i gorzkich rozczarowań, poznał dobrych i złych ludzi, sypiał w wygodnych łóżach w domach bogaczy i na gołej ziemi w porę deszczową, był syty i głodny, upadał na duchu i podnosił się z upadków, niezliczoną ilość razy wątpił o celowości swojej drogi i niezliczoną ilość razy odzyskiwał wiarę w pomyślny koniec swojego posłannictwa.

I tak wędrował, ale nie mógł doliczyć się dni i nocy, które pozostawił za sobą od chwili, gdy wyrzucony przez Wielką Rybę na brzeg, wyruszył w drogę do Miasta Grzechu.

## 33

NIESKOŃCZONE SĄ DROGI PAŃSKIE, ale skończone są drogi człowiecze. Miało się ku zachodowi, gdy Jonasz ujrzał przed sobą ogromne miasto, położone wśród pięknych ogrodów i lasów palmowych, i szeroką rzekę, której wody uradowane wspaniałością i bogactwem pałaców, chcąc się nacieszyć ich pięknem, płynęły powoli i tą swoją wdzięczną powolnością przydawały uroku i wdzięku całej krainie. Tylko tak mogła wyglądać potężna i dumna Niniwa urągająca, piętrzącymi się ku niebu potężnymi budowlami, namiotowi Pańskiemu, rozpiętemu wysoko nad światem.

Jonasz usiadł pod palmą, posilił się daktylami, ugasił pragnienie wodą ze źródła, i oparłszy się plecami o chropowaty pień palmy, zamierzał wypocząć po całodziennej wędrowce, gdy usłyszał w sobie Głos Pana, mówiący:

- Dotarłeś do Niniwy, Jonaszu.
- Widzę to — odparł pokornie Jonasz.
- Jutro zaczniesz prorokować...

— Tak, Panie.

— Będziesz szedł ulicami i placami miasta i wołał: „Włóżcie na siebie szaty pokutne! Głowy posypcie popiołem! Jeżeli nie będziecie pokutować i nie nawrócicie się, Niniwa będzie zburzona po dniach czterdziestu, a jej mieszkańcy zgładzeni! Kamień na kamieniu nie pozostanie z tej stolicy bałwochwalców i rozpustników!” Tak wołaj i dodaj od siebie słowa i zdania, jakie będziesz uważał za właściwe dodać, ale dbaj o to, by były surowe, zapalczywe, więc nie miarkuj swojej gwałtowności i gniewu, i pamiętaj, że jesteś moimi ustami!

— Dobrze, Panie — odpowiedział Jonasz i wyznał w szczerości ducha: — Nie wiem, czy mi się to uda.

— Znowu zaczynasz? — spytał Pan.

— Nie umiem mówić z poganami — bronił się Jonasz.

— Na statku ujawniłeś duży dar wymowy i przemawiałeś do pogan tak przekonywająco, że wbrew swej woli wrzucili cię do morza.

— Czuję się winny. Nie chciałem mieć na sumieniu ich śmierci.

— Czy z tego wynika, że umiesz mówić z poganami tylko we własnej sprawie? A jeżeli tak, czy mam przez to rozumieć, że moja sprawa nie jest twoją sprawą?

— Jestem Twoim powolnym narzędziem.

— Wybrałem cię spośród nieskończonej ilości ludzi, a ty śmiesz z miną pokrzywdzonego niewiniątka uskarżać się na swój los?

— Panie, wybacz, ale być narzędziem w Twoich rękach to niełatwa rzecz.

— A jeszcze niedawno chępiłeś się swoim wybraństwem, którym cię wyróżniłem, i z pychą twierdziłeś, że jesteś moją własnością. Jesteś obłudnikiem, Jonaszu!

— Panie, jestem słabym człowiekiem. Jestem krętym i dzikim łożyskiem. Wciąż się zdumiewam nad niezbadaną wolą Twoją i Twoim upodobaniem, według których uświęciłeś mnie spośród niezliczonych mężów i uczyniłeś mnie wybranym wykonawcą swoich rozkazów... Panie, kręte i dzikie łożysko nie jest godne żywej wody życia, która nim płynie...

— Odejdź! Zejdź mi z oczu!

— Panie, nie każ mi odejść! Panie, nie odpędzaj mnie! Błagam Cię! Wszystko uczynię! Wszystko! Do końca! Jeżeli nie będę Twoją własnością, kim będę, Panie?!

To powiedziawszy, runął na twarz i pomyślał, że ciężkie jest życie człowieka, który niezależnie od tego, czy doznaje z ręki Boga dobrodziejstw, czy bolesnych ciosów, musi zawsze żarliwie dziękować Mu za wszystko, co On w łaskawości swojej służy swojemu czyni.

# 34

TUŻ PO OTWARCIU MIEJSKICH BRAM Jonasz przez zwodzony most wszedł do miasta. Niniwa liczyła czterdzieści mil długości i czterdzieści mil szerokości. Było w niej dwanaście placów targowych i dwanaście głównych ulic. Z każdej ulicy wychodziło dwanaście bocznych ulic. Na każdej ulicy było dwanaście dziedzińców, a każdy dziedziniec otoczony był dwunastoma domami. Ale Jonasz, patrząc na te piękności, natychmiast zawstydział się swojego podziwu, albowiem był to podziw niegodny prawego syna Izraela. Poczul lęk przed brzydota pogańskich piękności, albowiem w każdej z nich tkwił mąż ciemności, Belial, księżę robaczywych owoców, pan żarliwych pokus, wiecznie niesyty zła. Rozejrzawszy się zatem dokoła — stał właśnie na placu targowym rojącym się od niezliczonych tłumów — napełnił się Duchem Bożym i wielkim głosem przemówił do Niniwitów. Z początku mówił z oporem, niechętnie, ale im dłużej mówił, mówił z coraz większym przekonaniem, coraz żarliwiej i gwałtowniej. I oto woła Pańska, mimo wewnętrznych oporów Jonasz, stała się jego własną wolą, i mąż sprawiedliwy stał się ustami Pana. Krzyczał i złorzeczył, i groził, a tłum słuchał. A mąż krzyczał coraz głośniejsze, krzyczał przeciw bałwochwalstwu, przeciw nierządowi, przeciw kultowi zwierząt, przeciw bogaczom uciskającym biedaków, przeciw nienawiści i złości,

przeciw czarom i zabobonom, krzyczał coraz głośniej i groźniej, a w końcu prorokował Niniwitom czas zagłady, i zapowiedział, że jeżeli do dni czterdziestu nie nawrócą się i nie będą pokutować, Bóg Izraela, Jahwe Cebaoth, wykarczuje ich jak spróchniałe drzewa, wytraci ich do szczytu i zmiecie z powierzchni ziemi, i unicestwi na całą wieczność. I znowu wzywał Niniwitów do poprawy i znowu grzmiał, krzyczał, groził, miotał klątwy na głowy grzeszników i tym sposobem wykonał wszystko, co mu Pan polecił, ani o cal nie odbiegając od rozkazów Jego. A uczynił to wszystko, chociaż nie pragnął nawrócenia pogan. A jednak wzywając ich do pokuty i nawrócenia wzywał ich szczerze i żarliwie — był przecież ustami Boga! — i tylko bezsilnie uśmiechał się we wnętrzu swoim do Pana, o którym wiedział, że jeżeli wybrał On człowieka na swoje narzędzie, umie je uczynić tak sobie poddane i powolne, że nawet wbrew temu, co ono samo myśli i czuje, zawsze będzie posłuszne Jego woli i nakazom.

Bogate były owoce Jonaszowych prorocत्व. Wprawdzie z początku Niniwici, nie wierząc we Wszechmoc Jedynego, Nieskończonego i Niewidzialnego, nie tylko nie dali wiary groźnym przepowiedniom proroka, ale bluźnili Bogu Izraela, kpili z Jego Jedyności — co to za Bóg, który jest jeden? Jak może Jeden stworzyć cały świat? I cóż to za Bóg, który jest niewidzialny? Cóż to za Bóg, który ukrywa swoją postać? — i szydzili z Jego Chwały i bolesnymi docinkami przerywając mowę Pańskiego



wysłannika, niedwuznacznie dawali mu do zrozumienia, że uważają go za męża niespełna rozumu. Ale z biegiem dni i Jonaszowych przemówień, Niniwici poczęli z rosnącą uwagą słuchać upomnień i gróźb krzyczącego Hebrajczyka, przestali go obrzucać końskimi jabłkami i kamieniami, ci i owi potakująco kiwali głowami, aż wreszcie — a było to już w połowie czasu wyznaczonego przez Pana — popadli w duszny niepokój i w trwogę przed piekłem i potępieniem. Trwoga otwiera bramy raj. Król Niniwy dowiedziawszy się o prorocत्वach Jonasza zadumał się nad losem swoim i swojego ludu, jego dusza złagodniała, jego myśli złagodniały, jego serce złagodniało, a w ciemnościach jego wnętrza zapalił się płomyk sumienia, z początku był wątki, zaledwie pelgający, ale pod działaniem prorocत्व Jonasza wkrótce buchnął ogromnym płomieniem, od którego zajęło się sumienie i zajęła się dusza wszystkich Niniwitów. Król powstał i zarządził powszechny, prześlągalny post, a nawet trzodom zabronił wypasu i wodopoju, a wszystkim bez wyjątku rozkazał przyodziać się w szaty pokutne. Zarządzeń tych w odniesieniu do zwierząt nie należy rozumieć dosłownie, ale raczej symbolicznie i z lekkim przymrużeniem oka, co zresztą w niczym nie umniejsza wagi samego zarządzenia, przeciwnie, świadczy o głębokiej trosce króla o szybką i całkowitą naprawę obyczajów. Równocześnie król zakazał ludowi składania ofiar fałszywym bogom i polecił zniszczyć bałwany, oddać chwałę Bogu Jedynemu i wyrzucić z serc nienawiść,

jak się zrzuca z ciała brudną szatę. I stało się, że kto skłamał, przyznawał się jawnie do kłamstwa, kto uciskał sieroty i wdowy, wynagradzał je sowicie, kto fałszywie przysięgał, odwoływał swoje przysięgi, kto ukradł, zwracał skradzione, kto skrzywdził, wynagradzał krzywdy, kto znalazł zgubę, oddawał ją prawowitemu właścicielowi. Pan Zastępów stał się Bogiem Niniwitów! Raduj się, ziemio, aż po swoje granice! Radujcie się, wysokie niebiosy! Radujcie się, góry i wody! Radujcie się, wszystkie ludy! Raduj się, Jonaszu ben Amittaj!

A Jonasz zmęczony długim bojowaniem z Niniwitami, ledwo trzymając się na nogach, schrypnięty — ileż on mów wygłosił! — powlókł się za miasto, aby z dala od ludzi, w samotności rozważyć zwycięstwo Wiekuistego. Usiadł pod rozłożystą oliwką i zanim zdołał zebrać rozproszone myśli i uporządkować je, usnął kamiennym snem.

## 35

I STAŁO SIĘ, ŻE PAN PRZYBYŁ do Jonasza przez bramę snu, dotknął ramienia śpiącego i obudziwszy go, przemówił:

— Pokój tobie, Jonaszu.

— Panie mój — szepnął Jonasz i poczuł na twarzy ciepły powiew wiatru, a po jego uroczystym szeleście i szumie domyślił się, że Pan przybywa do niego w ważnej sprawie. — Czy przychodzisz do mnie z nowym poleceniem? — spytał podejrzliwie.

— Nie — odpowiedział Pan. — Wykonałeś wszystko, co ci rozkazałem wykonać. Możesz spokojnie wrócić do Ziemi Izraela.

Jonasz chętnie by teraz westchnął z ulgą, ale przeźornie tego nie uczynił w obawie przed Panem, który mógłby ten odruch poczytywać za wyraz zbyt wielkiego zadowolenia.

A Pan ciągnął dalej:

— Przyszedłem, albowiem postanowiłem w dowód wdzięczności za twoją wierną służbę — przecież wolę moją uczyniłeś wolą swoją, a usta moje swoimi ustami — odsłonić przed tobą jedną z tajemnic, abyś w pełni zrozumiał mój zamiar nawrócenia Niniwitów, uwieńczony teraz dzięki tobie tak pięknym skutkiem. Byłeś posłusznym narzędziem w rękach moich, Jonaszu.

— Pod przymusem — odparł pokornie mąż sprawiedliwy. — Wiesz przecież, że Twój rozkaz nie był po mojej myśli i gdyby nie...

— Tym większa twoja zasługa — przerwał mu Pan — że wykonałeś ów rozkaz na przekór sobie samemu, a mnie na chwałę. W posłuszeństwie swoim posunąłeś się tak daleko, że wolałeś sobie zaprzeczyć niż Panu

twojemu. Swoją wolę złożyłeś mi w ofierze, Jonaszu, i tym sposobem przyświadczyłeś miłości swojej, którą mnie obdarzasz. Cenię sobie twoje poświęcenie i oddanie. Nie ma bowiem nic piękniejszego nad człowieka, który wolę swoją ofiaruje Bogu. A co się tyczy owego przymusu, o którym wspominałeś, wiedz, że błogosławieni są ci wybrani przeze mnie ludzie, którzy działają pod moim dobroczynnym przymusem.

— Panie... — szepnął z wdzięcznością Jonasz.

Powiew wiatru znowu zaszeleścił i zaszumiał, i Jonasz znowu usłyszał Głos dochodzący z głębi snu i powiewu:

— Pamiętasz, jak mnie ongi spytałeś, do czego jest mi potrzebne nawrócenie pogan?

— Pamiętam... — odparł Jonasz. — Ale pragnę zapomnieć o tym pytaniu.

A na to odpowiedział Pan:

— Ale Ja je pamiętam. I teraz otrzymasz na nie odpowiedź, abys wiedział, co uczyniłeś, składając mi swą wolę w ofierze. W Piśmie Świętym napisałem, że stworzyłem człowieka na swoje podobieństwo.

— Tak, Panie...

— Czy wiesz, co to znaczy?

— Cóż może wiedzieć marny robak o Podobieństwie Pańskim?

Pan, któremu spodobała się odpowiedź Jonasza, tak dalej mówił:

— Na sposób doskonały stworzyłem świat, ale nie dokończyłem dzieła Stworzenia. Uczyniłem to świadomie

dla dobra człowieka. Uważałem bowiem, że powinienem go w widomy sposób uhonorować, zaszczycić, wyróżnić i chwalebnie wywyższyć nad zwierzęta czworonożne, nad ptaki i płazy, nad ryby i wszelkie rośliny, i w tym celu uczyniłem go moim spółnikiem i kazałem mu skończyć rozpoczęte przeze mnie dzieło Stworzenia. Dlatego dałem mu wolę twórczą, moc powstawania, dojrzewania i doskonalenia, pączkowania i owocowania, nieustannego wzrastania, dojrzewania i zbierania, moc twórczej miłości, i za pomocą niej upodobiłem go do siebie. I tak należy zrozumieć to, co rylcem biegłego pisarza wyryłem w Piśmie Świętym: „Pan stworzył człowieka na własne podobieństwo”. Synu mój, każde zło odpodabnia człowieka ode mnie. Każde dobro upodabnia go do mnie i jest doskonaleniem świata. Czyniąc dobro doprowadzacie do błogosławionego końca dzieło moje. Dlatego kazałem ci nawrócić pogan, Jonaszu. Chcę, aby wszyscy ludzie stali się do mnie podobni, bo dla owego podobieństwa stworzyłem człowieka.

Pan umilkł, ale zaraz ciągnął dalej:

— Ponieważ spełniłeś dzieło swoje, dostąpisz prawdziwego szczęścia i po trudach posłannictwa powrócisz do ojczyzny swoich praojców, gdzie żyć będziesz długo w kole swojej rodziny, i umrzesz, ty i twoja żona, i twoje dzieci, spokojną, łagodną śmiercią przez mój pocałunek, który złożę na czołach waszych na dowód, że wykonałeś wszystko, co ci wykonać kazałem.

Wtedy Jonasz padł na kolana, podniósł głowę ku niebu i zaśpiewał na chwałę Pana:

Cudowne i doskonale są dzieła Twoje.  
Uwielbiam Cię, Boże, królu mój,  
I błogosławię Imię Twoje na wieki wieków.  
Wielki jesteś,  
A Chwała Twoja jest wielka,  
A mądrość Twoja niezgłębiona!

Niechaj pokolenia pokoleniom  
Przekazą sławę Twoich dzieł  
I opowiadają o Twojej Wszechmocy,  
Niechaj zwiastują pamięć  
Twojej hojnej dobroci  
I głośno śpiewają o Twojej sprawiedliwości.

Dobry jesteś dla wszystkich,  
A miłosierdzie Twoje  
Jest nad wszystkimi Twoimi dziełami!

Pan, który uważnie i z zadowoleniem słuchał pochwalnego psalmu pięknie śpiewanego na Jego chwałę, położył obie dłonie na pochylonej głowie męża, i rzekł:

— Wróć w Imię moje do ojczyzny ojców swoich.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Jonasz podniósł się z ziemi, poprawił pas na biodrach i ruszył przed siebie, ku dalekim wzgórzom prześwitującym przez liliową mgłę.

Gdy uszedł kilka kroków, odruchowo, jak to czyni człowiek, który żegna ukochaną osobę, obejrzał się za siebie, chociaż nie spodziewał się żywymi oczami ujrzeć Niewidzialnego. Pomyślał, że piękna jest Niewidzialność Pana, piękniejsza nad wszystko, co jest widzialne, piękniejsza nad wszystkie dzieła na niebie, ziemi i morzach. Utkwił baczne spojrzenie w oliwce, pod którą rozmawiał z Panem. Po trwożliwym szeleście jej liści i pokornym kołysaniu gałęzi poznał, że Niewidzialność Pańska wciąż jeszcze stoi w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą z sobą rozmawiali, i uśmiecha się do niego z tkliwym wzruszeniem.

I Jonasz ben Amittaj ruszył w powrotną drogę do ojczyzny, wciąż mając w oczach uśmiech Niewidzialnego.

## 36

I szedł nocą, kierując się na zachód, a szedł niespiesznie, śpiewając, a niezliczona ilość gwiazd nad jego głową i mgławice, i droga mleczna ciągnąca się środkiem nieba, przypominały mu, że jest tylko drobnym, nic nie znaczącym i ledwo widocznym odpryskiem świętego Dzieła Stworzenia. Ale ta świadomość własnej znikomości wcale dlań nie była teraz bolesna ani przerażająca. Przeciwnie.

Był szczęśliwy jak nigdy dotychczas. Wiedział już, że  
wprawdzie jest drobnym pyłem rzuconym w otchłań  
czasu, ale mimo to jest podobny do Boga,  
albowiem złożył Mu wolę swoją  
w całopalnej ofierze.

